



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

JUBILEUSZ ARCYPASTERZA.

W d. 13 ym b. m. J. E. Arcybiskup warszawski, ks. Wincenty Chościak Popiel, obchodził 50-letni jubileusz kapłaństwa. Obchód był uroczysty i odznaczał się podniosłością nastroju. Liczny udział ludu i pobożnych zastępów nadał uroczystości charakter powszechnego hołdu, jaki Najdostojniejszemu Jubilatowi w owym dniu składano.

Już w d. 12-ym b. m. rozpoczęły się chwile jubileuszowe. Pomiędzy godziną 3-cią a 6-tą po południu J. E. ks. Arcybiskup przyjmował osoby urzędowe i świeckie, które przybyły złożyć Mu życzenia.

O g. 6-iej po południu zgromadziło się w pałacu arcybiskupim całe obecne w Warszawie i przybyłe na jubileusz arcybiskupie duchowieństwo z kapitułą metropolitalną warszawską, pod przewodnictwem J. E. ks. biskupa-sufragana Ruszkiewicza na czele, z kapitułą kolegiaty łowickiej, z delegatem akademii duchownej w Petersburgu, ks. prałatem Retke i delegacjami wszystkich innych kapituł dyecezyalnych w kraju.

Duchowieństwo archidiecezyi warszawskiej, składając ks. arcybiskupowi życzenia z powodu

radosnej rocznicy, wręczyło Jubilatowi, zwyczajem przyjętym, zbieraną pośród siebie ofiarę na mszę złotą jubileuszową.

Uroczystości kościelnej nadano nazajutrz piętno solenne.

Rano w d. 13-ym b. m. J. E. Najdostojniejszy Jubilat wyjechał z pałacu swego do katedry.

Słońce rzucało złote snopy swoich promieni na plac Zamkowy. Kolumna króla Zygmunta jaśniała blaskiem, a tłum u jej stóp kąpał się w potokach światła, w ruchliwe układając się grupy, które co chwila zmieniały swój kształt i barwę.

Oko z prawdziwą przyjemnością tonęło w tym obrazie—widoki to były malownicze i wzruszające. W piękny pochód rozwinęły się bractwa. Dziewczęta w bieli wyglądały, jak wcielenie czystości. Członkowie cechów w czarnych surdutaх kroczyli poważnie obok Zamku.

Na przyjazd arcybiskupa brama katedry była udekorowana ładnie mnóstwem zieleni, po nad drzwiami widniał z kwiatów ułożony krzyż i pastoral.

Po przejeździe Arcypasterza plac Zamkowy opróżnił się. Kto mógł, śpieszył do świątyni.

Przed wielkim wejściem do katedry Arcypasterza przyjęli biskupi przybyli na jubileusz i duchowieństwo. Pod baldachimem przeprowadzono procesjonalnie Jubilata do kościoła. Śpiew chóru rozlegał się dokoła... Śpiewano hymn jubileuszowy.

O g. 10-iej rano odbyła się wielka „złota“ su-

ma jubileuszowa, przed którą duchowieństwo odśpiewało jeszcze „Veni Creator.“

Po „Credo“ kazanie wygłosił ks. prałat Jungowski.

Obok wielkiego ołtarza, naprzeciwko tronu arcybiskupiego, zasiedli z prawej strony: biskupi J. E. ks. Ruszkiewicz, Kuliński, Baranowski i Jaczewski. Dwustu księży zapełniło presbiterium.

Tłum pobożnych zapełnił świątynię, wznosząc modły za Jubilata.

O g. 4-iej po południu J. E. ks. Arcybiskup przyjmował gości w swoim pałacu. Do rozstawionych stołów zasiadło 150 osób.

Zebrańie miało serdeczny charakter, a Jubilat ze staropolską gościnnością podejmował dostojne grono. Toasty sypały się jak z rogu obfitości. Nastrój przez cały czas trwał serdeczny i miły, pozostawiając najsympatyczniejsze wrażenie.

Kiedy się goście rozchodzić poczęli, na ustach wszystkich były życzenia, aby Najdostojniejszy Jubilat długie, długie jeszcze lata przewodniczył Swojej owczarni w błogosławieństwie Bożem.

PO WAKACYACH.

Jeżeli kto umiejętnie i starannie przesadza roślinę z jednego miejsca na drugie, to z pewnością nie otrząsa z jej korzeni tej ziemi, w której rosła i nie wsadza jej w grunt zupełnie nowy, odmienny od poprzedniego, a przesadzonej roślinie zachowuje ściśle te same warunki w jakich żyła i rozwijała się dotychczas. Owszem, krzew młody ostrożnie wyjmując wraz z otaczającą go ziemią, umieszcza się go o ile można w tem samym położeniu, pielęgnuje się wyjątkowo, nim do nowego gruntu przywyknie i chroni przed szkodliwymi wpływami. To samo jest z dziećmi, z młodzieżą, gdy się zmieniają warunki ich życia, n. p. w takiej przemianie jak powrót z wakacyi, ze wsi, z gór, z nad morza, do domu, do miasta.

— Jestem szczerze zmartwiona—mówiła do mnie pani X. stanem zdrowia naszych dzieci...

— Cóż im się stało, czy chore?

— Nie, ale w górach tak im było dobrze, miały apetyt, były wesołe, grzeczne, spały, i nawet bardzo im zabawne i trafne myśli do głowy przychodziły, a tu, po powrocie, wszystko się zmieniło; budzą się w nocy, nie chcą jeść przy obiedzie, zleniwiają i siedzą nad książkami oswiała. Te miejsca kąpielowe to póty dobre, póki się tam jest, a potem skutków nie ma na dłużej.

— Proszę pani, miejsca kąpielowe temu nie winne, jeśli państwo wróciwszy do miasta, zmienili zupełnie postępowanie z dziećmi; góry dawały im przestrzeń powietrza, a teraz czy chodzą na spacer?

— Eh, teraz nie ma czasu na to, idą do szkoły i wracają, to i dosyć tego, a gdzieżby było miejsce na inne lekcje, rysunki, muzyka, konwersacja francuska i t. d.

— Zdaje mi się, że godzina przechadzki byłaby bardzo właściwa po cóż tak dzieci przeciążać zaraz po powrocie z wolności wakacyjnej, umysł od razu się znuży i zniechęci i siły osłabną. Widzi pani, że już jeden warunek dodatni dla zdrowia odpada z dziecinnej higieny, to jest powietrze; a cóż dzieci jadły w górach?

— O, tam, mleko naturalnie, słodkie na śniadanie, kwaśne na podwieczorek, góralka miała krowę, z obory przynosiła świeże, zaraz od rana o szóstej się przegotowało, drugie nastawiło na zsiadłe i tak codzień, smakowało im wybornie z razowym chlebem.

— No, a w Warszawie co dostają?

— W Warszawie! naturalnie rano herbatę, po południu kawę. Mleka tak rano nie przyniosą z mleczarni, a chłopcy się śpieszą do szkoły, samowar może być i o 7-mej na stole, więc piją herbatę, a popołudniu jest kawa dla wszystkich, więc i dzieci dostają.

— A dlaczego pani nie pośle służącej po mleko od samego rana i nie bierze go tyle, żeby dzieci dalej miały w domu to, co im smakowało na wsi? Czyż to tak trudno przegotować mleko lub nastawić na kwaśne?

— W mieście to trudno, ktoby tam dla każdego przygotowywał co innego! sługi by się krzywiły i czasu nie ma.

— Przyzna pani, że drugi warunek zdrowia odpada dzieciom—posilne pożywienie; herbata i kawa, to jest tumanienie dzieciom żołądka, a nie posiłek i podstawa odżywiania. A jedzą choć owoc?

— Czasem dostają, ale to nie Zakopane lub Szczawnica, gdzieby nosili po domach poziomki za bezcen.

— Niech im pani choć jabłek nie żałuje, a to przecie można mieć w piwnicy cały korzec tego od razu, kupi pani nad Wisłą na galarze, będą dobre i tanie.

— Która by tam kucharka chciała lecieć na galary nad Wisłą po jabłka!

— A pani sama nie może? przecież i to spacer popołudniowy dla dzieci i ciekawy widok tego ruchu na rzece i tego nadmiaru owocu aż oczy się cieszą.

— Po południu jest raz konwersacja, a raz muzyka dwóch dziewczynek, chłopcy się uczą wtedy na drugi dzień.

— A mają naprawdę dziewczynki zdolności do muzyki?

— Tak, trochę, nie szczególnego. Młodsza narzeka że ją plecy boją po lekcyi, a starsza ma słuch tępy, no, ale inne się uczą, więc niech tam i one!

— Ależ, pani szanowna, po co, na co! lat kilka pomęczą siebie, nauczycieli pieniądze będą wyrzucone, a panienki dorosłe w salonie wymieniać kiedyś będą tylko nazwisko znanego profesora, a co do grania — będą miały — „tremę.“ Niech one lepiej leca, z panią nad Wisłą po jabłka. Nawetby lepiej spały po takiej wycieczce.

— Chodzą na pensję taki kawał drogi, i żalą się już, że je nogi boją i wstać im się nie chce od rana, w górach zrywało się wszystko przed siódmą, wyspane.

— A kiedy się tam kładli spać?

— Tam, to wieczorami nie było co robić, żadnych gości, koncertów, wizyt, to się kładło spać wcześniej, o dziesiątej byliśmy w łózkach. Teraz przecie muszą się dzieci uczyć lekcyi, często w dzień gość przeszkodzi, więc nadrabiają wieczorami, czasem to i do dwunastej zejdzie.

— I cóż dziwnego, że potem wstać nie mogą wcześniej! Wszakże przynajmniej ośm, dziewięć godzin snu potrzeba dla uczącej się młodzieży, inaczej siły im zmniejszą i umysł się wyczerpie, a do gości wcale dzieci, mojem zdaniem, wychodzić nie powinny, kiedy są nauką zajęte, bo to właśnie czasu szkoda dla nich i nawykają przekładać obowiązki nad obowiązkiem pracy.

— Eh, pani by chciała żebyśmy dom urządzili jak stacyę klimatyczno-hygieniczną dla kilkorga dzieci! Ależ to niepodobna, przede wszystkim dzieci uczyć się muszą wszystkiego i najpierw myśleć nam trzeba o ich szkole, lekcyach, talentach...

— A potem dopiero o ich zdrowiu?

— Przecie im się żadna krzywda nie dzieje!

— Owszem, proszę pani, to jest krzywda, jeśli podratowane przez wakacje zdrowie dzieci naraża się po powrocie do domu na wszystkie ujemne wpływy, które szkodzą, podkopują i doprowadzają w końcu do niemożności dalszej nauki. Ież to młodzieży w ciągu roku szkolnego musi zaprzestawać lekcyi na kilka tygodni, czasem na miesiące całe, aby nabrać tehu do dalszej wędrówki przez szkołę!

Zachowajmy im dobre pożywienie, ruch na powietrzu, dostateczną ilość snu, zamiast owych „konwersacyi“ cudzoziemskich dajmy im gimnastykę, zamiast owych „talentów“ bez talentu dajmy im energię, siłę muskulów i zatem idącą siłę ducha, zamiast wizyt i gości, dajmy im przyrodę, która przez lato wlewała dzieciom w głowy źródło świeżych wrażeń i zachwyty, to nie sponęnieją na miejskim bruku, nie zleniwieją duchem i ciałem i nawet przy ścisłej pracy szkolnej utrzymają się w dostatecznej równowadze między możliwością, a koniecznością wypełniania obowiązków. Nie róbmy z drobnych trudności miejscowych—tamy niezbędnym warunkom higienicznym dla utrzymania dziatwy w czerstwości i wytrzymałości przez cały kurs szkolny, a dobre owoce takiej logiki przezornej uwolnią nas od wielu przykrych u dzieci niespodzianek pod względem zdrowia i umysłu; lepiej nam patrzeć na gromadkę rażnych, przytomnych, uważnych dzieci, które się prosto trzymają, oczy mają wesołe i wyspane, cerę zdrową, niż na tych przeciążonych dyletantów, którzy się uczą „wszystkiego“ a niczem się popisać nie mogą, źle śpią, a biorą arszennik, i siedzą w domu ponure mruczając lichy po francusku kiedy słońce świeci na dworze i kawał nieba wisi przecie nad miastem pogodnie i dobroczynnie.

Wakacje nie powinny być dla młodzieży tylko promienną, jakąś fatamorganą, a potem razem utraconym z kretelem,—ale wzmocniwszy

zdrowie młodego pokolenia, przeciągać o ile można je należy i na rok cały. Inaczej ze zdrowiem, z przyszłością dzieci będzie tak jak z ową muzyką tych panienek bez zdolności,—będziemy kiedyś wymieniać nazwy pięknych znanych miejscowości kąpielowych gdzieśmy dzieci wozili na lato, ale w duszy zostanie nam wieczna nieznośna „trema“ o ich zdrowie, którem się jakoś nigdy pochwalić nie będziemy mogli.

Szczęсна.

KOLYSANKA.

Słodka cicha noc wrześniowa
Niepojętym czarem tchnie...
Senna ziemia w mgłę się chowa...
W srebrnej mgłę...

Tonąc w marzeń lubych głuszy,
O błękitów niebie sni—
Czemuż mi tak smutno w duszy?
Powiedz mi!

I choć z oczu moich płyną
Łzy tęsknoty... rzewne łzy —
Nie uwierzysz, iż przyczyną
Jesteś ty!

Fale czasu w dal wciąż biega,
Jak spienione fale mórz,
Lecz nie zatrają czaru twego
Nigdy już!

Alabaster twoich dłoni...
Twych warkoczy złotych zwój...
Zawsze... wszędzie za mną goni
Urok twój.

Nieraz cały drzę i płonę,
Kiedy z pierwszym blaskiem zórz,
Ujrzę twoje rozchylone
Usta z róż.

Jeśli we śnie widzę ciebie,
Błękit, co w twych oczach lśni,
O przyszłego szczęścia niebie
Mówi mi.

A gdy zjawisz się przedemną,
Jak liljowy wdzięczny kwiat,
Dla mnie w otchłań spada ciemną
Cały świat!

Władysław Nawrocki.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Na rozmyślaniach i dumach schodził mu czas w Kamionce, przerywany częstemi odwiedzaniem Zosi w Orzeszkowcach. A tymczasem dni biegły i biegły, przyszedł Wrzesień i zbliżał się czas wyjazdu do Warszawy. Termin był już dawniej naznaczony przez pana Orzelskiego, któ-

ry nie chciał go odciągać, będąc tego zdania, że im prędzej zabierze się Władysław do pracy, tem lepiej dla niego. Matka, chociaż pragnęłaby zatrzymać dłużej syna przy sobie, nie oponowała wszakże mężowi, tylko Anusia lkała czasem cichutko na myśl prędkiego wyjazdu brata. Zosia rozumiała to także, że im prędzej zacznie Władysław pracować na ich wspólną przyszłość, tem bardziej ją przyspieszy. Postanowiła więc sobie, że nie będzie go wstrzymywać.

— Tak, Władku, trzeba żebyś już jechał, jeśli tego twój ojciec pragnie — mówiła doń, gładząc łagodnie dłoń jego pochyłoną przed nią głowę i spadające z niej włosy. — Im prędzej wyjedziesz, tem prędzej — da Bóg — powrócisz — już po mnie...

Wymówiła ostatnie słowa głosem cichszym i słodkim, patrząc na niego swymi dobrymi, piwnymi oczkami, w których złote iskiereki to się budziły, to gasły w jakiejś zadumie. A on przyciskał wóczas do piersi jej główkę ciemną, pochylał się i składał na niej niezliczone, gorące i serdeczne pocałunki, pod którymi jej było dobrze, spokojnie i cicho.

Stali w końcu alei, przy płocie, z kądem wzrok ogarniał wielką przestrzeń pól połowianych i pękających w jary, błyszczących ściernią w blaskach zachodniego słońca.

A on, przyciskając jeszcze mocniej jej główkę do piersi, w której ścisnęło mu się smutkiem serce, mówił, tłumiąc westchnienie:

— Jakże mi tam będzie brak ciebie, Zosienko moja najdroższa! Ciebie — i tych naszych pól — dodał po chwili, ogarniając wzrokiem piękny, lecz już niby osmutniony niższym słońcem i jakąś melancholią jesienny krajobraz. — Jak mi tam ciężko będzie żyć bez was!...

— Od ciebie zależy, Władeczkun, abys mnie prędzej miał przy sobie... a te pola widzieć będziemy co roku, bo co lata przyjeżdżać będziemy z Warszawy do rodziców, do Orzeszkowic.

— Byleś już moja została — mówił, patrząc na nią wzrokiem rozkochanym — wóczas i Warszawa rajem mi będzie przy tobie. Ale tymczasem to mi tam chyba zamrzec przyjdzie z tęsknoty za tobą, dziewczyno ty moja najszersza, szczęście ty moje, ukochanie moje najdroższe!...

Mówił do głosem rozkochanym i namiętnym, obejmując płomiennym wzrokiem jej wdzianą postać — a ona tuliła się do jego ramienia — cicha i słodka, sypiąc oczętami złote, promienne iskiereki. Poczuli się aleja, spleceni ramionami i blizcy, niemal wyczuwając nawzajem mocne bicie swych serc, które się tłukły im w piersi, niby ptaki w klatce, — aż Zosia, cała zaróżowiona i śliczna, patrząc na niego z uśmiechem, zaczęła nucić cichym, lecz wesołym głosem znaną piosenkę:

„Jaworowa furtka,
Dębowa rozwórka,
Spodobala mi się
Roztworowskich córka...“

Wieczorem wstał wielki, okrągły i rumiany miesiąc, który im wyżej się wznosił, tem bardziej bladł, zalewając łagodnym światłem pola, srebrząc ściernę, na której czerniały gdzieś gdzie cienie od niesprzątanych jeszcze kop. Wóczas wyszli wszyscy przez kołowrót na przechadzkę w pole, aby użyć cichej i jasnej nocy księżycowej. Szli wazką drożyną polną obok ścierni, tuż przy gościncu, pełnym pyłu, uczynionego przez liczne wozy, które już od dni kilku ciągnęły tą drogą bez przerwy, z wielkim skrzypem kół, zwoząc plon z pól do stodoły. W polu pełno wóczas bywało skrzypu po drogach i gwarnej pracy ludzkiej na dożynanych łanach. Lecz teraz wszędzie była cisza, cień albo blask miesięczny i milczenie nocy.

Pani Roztworowska z pannami pozostała nieco w tyle, a Władysław i Zosia szli przodem. Zosia oparła się na jego ramieniu — cicha i jakby skupiona, a on tak ją wiódł tem księżycowem pasmem, srebrząc się ściernią, niby w jakimś świat czarodziejski i srebrny — niby do jakichś zdrojów krynicznych i jasných, których dusze ich były spragnione. I szli tak w jasności miesięcznej, w cichym upoieniu serc, oboje wzru-

szeni i niemowni, czując to tylko, że serca im rozkwitają niby kwiaty, a piersi zbiera jakąś pełnią bytu i czuć.

A gdy tak szli, to nagle mu się wydało, że już ją prowadzi przez życie, ją umiłowaną i już poświęconą na wieki, już swoją nazawsze, której do grobu nie opuścić zaprzysięgł przed Bogiem. I wydawało mu się wóczas jasno, że ta ich wędrówka nie skończy się u kresu ich dni, lecz że tak samo pójdą oboje i dalej — w zaświat — tak samo razem i przy sobie — i że nie tam ich dusz nie rozłączy, jak tu ich losów i serc nie rozłączył los żaden, ni ból. A wóczas czuł, że obok ziemskiej ku niej miłości powstaje w jego duszy i rośnie jakieś uczucie dziwne i nigdy dotąd nie zaznane, jakaś wewnętrzna moc, która daje mu prawo nietylko do jej ziemskiego życia, lecz i do jej przyszedłego anieltwa.

Spojrzał na jej twarzyczkę, która w miesięcznym blasku była bardzo jasna i bledziutka, na jej oczy, w których się tliły jakieś ciche i promienne gwiazdki, i wydała mu się taka drobna, wiotka i bezsilna, że nagle schwyciła go ku niej wielką tkliwość i lęk, czy on potrafi temu swemu kochaniu usłać dość miękkie i pewne gniazdeczko, zapewnić dość wygodny byt, aby tej jego ptaszynce niczego nie brakło do szczęścia. Więc czuł, że będzie to odtąd największą i najszerszą zarazem troską jego życia.

Tymczasem doszli do kop, rozstawionych na czystym polu, i całe towarzystwo usiadło na snopach, zachwycając się czarem cichej nocy, urokiem tych srebrnych pól, których krawce ginęły gdzieś w tajemniczym zamierzchu. Potem któraś z panien zanuciła cichą piosnkę, nutę podchwyciły inne — i zwolna w ciszy nocy letniej — wśród milczących pól rozległa się i popłynęła smutna pieśń dziewczęca:

„Usnij mi, usnij — smutkiem umęczona,
Ja ci podścielę do snu ramiona,
I dum — jak puchu — ja ci podścielę —
Śpij, mój aniele!... śpij, mój aniele!...“

Dźwięczne głosy dziewczęce, niby fale srebrne, rozlewały się w ciszy ponad ściernią, szły i płynęły w dal, tracąc się gdzieś i ginąc w zamierzchu — a one tak śpiewały wciąż rzewniej i rzewniej, ukryte w gęstym cieniu kop, które się czerniły na księżycowym polu.

Więc, ktoby szedł tamtą stroną wśród nocnych łanów i słysząc głosy pieśni nie widział ukrytych śpiewaczek, albo dojrzał je zdala widniejącą w księżycowym blasku — tenby sądził, że to rusalki albo nimfy polne, nocne strażniczki zbóż — tak osmętniają śpiewem srebrny okrąg milczących pól...

A tymczasem głosy płynęły coraz dalej i dalej — aż się melodia zaczęła zniżać i spadać i ucichła wreszcie w ostatnim tonie przeciągłym:

„A kiedy wstaniesz — będzie wesele —
Śpij — mój aniele!... śpij, mój aniele!...“

Noc czyniła się coraz świeższa i pani Roztworowska powstała, dając znak do powrotu.

Zbliżył się wreszcie dzień wyjazdu. Władysław na parę dni przedtem złożył wizytę pożegnawczą w Zamiechówce i jeszcze był u kogoś z bliźszych sąsiadów, a w przeddzień wyjazdu pojechał do Orzeszkowic. Zosia powitała go cichym uśmiechem, ale twarzyczką smutną i z wilgotnymi rzęsami. Rozmowa w salonie jakoś nie wiązała się, bo wszyscy byli małowinni pod wrażeniem blizkiego pożegnania. Państwo Roztworowscy w ciągu częstych odwiedzin Władysława, przywiązali się już do niego i teraz mieli wrażenie, że ktoś im blizki, niemal ktoś z rodziny na długo od nich wyjeżdża.

A potem młodzi wyszli do ogrodu. Idąc temi alejami cienistymi cicho szumiących drzew, których szmery zdawały się Władysławowi smutnie śpiewać o spędzonych tu przezeń chwilach szczęścia, nie mógł się obronić dziwnemu jakieś niepokojowi na myśl, że kto wie z jakim on uczuciem powita je kiedyś. Więc patrzył na krzywe, stare jablonie, zarastające sad owocowy,

których gałęzie uginały się aż do ziemi pod ciężarem rumianych owoców; na fioletowe śliwy, które się rozbiegły i rozproszyły po sadzie, na stojące osobno orzechy, na stuletnie graby, które szły wzdłuż sadu krętą ulicą — i znów mu się wydało, że pośród tych cichych drzew jest jak wśród starych swoich znajomych, zyciowych mu i przychylnych, którzy żegnają go ze smutkiem, a powitają z radością. Wydało mu się nawet, że jablonie uśmiechają się doń poważnie i dobroliwie rumianością swoich lic, że orzechy kiwają mu poważnie ramionami, pełnymi dużych liści. Więc dziwna jakaś otucha wstąpiła w jego serce, że chociażby odjechał jak najdalej i powrócił nie prędko, nie zapomną o nim starzy znajomi i powitają go serdecznie.

I znów stanęli oboje w końcu alei u płotu, z kądem szedł wzrok na okolicę szeroką, — Zosia znów położyła cicho swoją główkę na jego piersi, a on otoczył ją ramieniem — i stali tak długo bez słów, czując zbierający w sercach coraz większy smutek i żal. Czuli, że kończy się dla nich ta cicha sielanka młodości, że obcowanie dwojga miłujących się serc, ta codzienna bliskość, w której tak się już żyli, że przywykli już niemal jedno przez drugie działać, myśleć i czuć. Natomiast oto mieli za chwilę rozłączyć się i rozstać na długo, na nieokreślony czas — i już nie spojreniem oczu i nie uściskiem rąk — lecz jedynie duchem obcować ze sobą zdaleka — pomagać sobie nawzajem, pokrzepiać się — i tak żyć nadzieją lepszej przyszłości.

— Pamiętajże, Zosienko najdroższa — mówił Władysław — że odtąd listy twoje będą mi wszystkim, mają mi tam zastąpić ciebie, pisując do mnie jak najczęściej, właśnie tak, jak gdybyś mówiła do mnie — z taką samą prostotą i szczerością. Pamiętaj o tem, że idę na pracę i na walkę, na codzienny bój — i że jedyną dla mnie od-tąd oporą moralną będziesz ty właśnie, a twoja miłość będzie w tej walce zbroją i mocą moją i obroną. Nie dajże Bóg, abym kiedykolwiek miał ją stracić lub zawiesić się na niej, bo wóczasbym zginął bez ratunku, nie mając już ani sił, ani chęci do dalszej walki. Nie mówię tego, najdroższa moja, aby cię obraził brakimi wiary w ciebie, bo przeciwnie — wierzę ci — i sercu twojemu, jak niczemu innemu na ziemi, lecz mówię to, abys wiedziała, żeś ty naprawdę dla mnie wszystkim — i wiarą moją i siłą — i samem życiem mojem — i szczęściem, a ty to sama zresztą wiesz i czujesz najlepiej.

Tak mówił głosem nieco wzruszonym, lecz spokojnym, a ona słuchała go cichutko, z główką opartą na jego piersi, patrząc nań jasnymi, zadumanymi nieco oczkami. Więc on, gładząc łagodnie dłoń ciemną jej główkę i składając na niej długi, gorący pocałunek, uczuł nagle wyraźnie, że ta głowa jest dla niego najdroższą na całym świecie, skarbem jedynym i niezamienionym, i że drugiej takiej już nie znalazłby nigdy w życiu, chociażby nawet szukał napróżno.

Na tę myśl wzebrała mu w sercu wielka tkliwość i wdzięczność ku niej za wszystko, co doznał od niej, za chwilę młodzieńczych natchnień i zachwytyw, za szczęście, za tę wiarę żywą w życie i za tę moc, którą ona wlewa do jego duszy. W tej chwili nietylko miłował ją, jako kochankę, lecz wprost ubóstwiał i czcił — jako aniola, zesłanego po to, aby podniosła go i zbawiła.

A potem przypomniał swoją niegodność i jeszcze potem zatrwożył się wewnątrz i pomyślał, że on jednak w istocie ogromnie dużo powierza jej i oddaje.

Oto cały bezkres swych młodzieńczych pragnień i dążności, wszystkie swoje porywy, ideały i cele, całą lepszą część swego istoty, oto całą swoją wiarę i szczęście — składa w jej drobne, ukochane ręce, a składa w nie z ufnością bezmierną i tak wyłączną, z jaką dziecię bieży do swej matki. Więc schwycił go nagle lęk bezwiedny na myśl, że gdyby ona tę jego wiarę zawiodła, toby wóczas cały gmach jego przyszłości runął w gruzy do szczytu i całe życie poszłoby na marne, rozsypałoby się w proch, w nicność i że z tego rozbicia nie pozostałoby mu nic, prócz rozpaczy bez dna i granic.

Spojrzał więc na nią, na jej ciemną, cichutko przytuloną do jego ramienia główkę, na jej podniesione właśnie ku niemu oczy — i w tych drogich źrenicach dostrzegł tyle blasku, serdecznej głębi i cicho świecącej dobroci, że trwoga zaczęła w nim znikać, a natomiast w sercu czuł pełno wiary i ufnej miłości.

Wówczas pochylił twarz nad jej głową i patrząc zawsze w jej piwne, głębokie oczy, zapytał półszepem:

— Będiesz-że moja, Zosienko? Moją zupełnie i nazawsze?

A ona—świecąc iskierkami z głębi poczciwych swych oczu, odpowiedziała równie cicho serdecznym głosem:

— Twoja—Władku—twoja na wieki...

A że był nieraz przyczyną jej bólu i łez, więc schwycił go naraz żal nieprzebrany za popelnione względem niej winy. Pochylił się i spytał jeszcze ciszej:

— I przebaczysz mi, najukochańsza wszystko, wszystko?

— Wszystko—wyszeptala Zosia.

Nastala wreszcie chwila rozstania. Zosia płakała—cicho łkając — w jego ramionach, kryjąc zalaną łzami twarzyczkę na jego piersi, a on tulił ją do piersi mocno i długo, jakby pragnął porwać i unieść z sobą to swoje serdeczne kochanie i szczęście.

A potem — z trudnością wyrywając się z jej objęć, ukłękął przed nią i wierząc, że błogosławieństwo z jej rąk ukochanych będzie dlań mocą i obroną, wyszeptał:

— Pobłogosław-że mnie, Zosienko—na walkę życia...

A ona—cała jeszcze zalana perłami łez i drżąca, wyciągnęła rękę i nad pochyloną jego głową nakreśliła znak krzyża, a na jego czole złożyła długi, gorący pocałunek.

W parę chwil potem Władysław wyjechał z Orzeszkowicz i tylko odgłos dzwonka długo jeszcze dźwięczał z pośród łąk.

Zosia pobiegła do ogrodu wypłakać się w ukryciu.

V.

Nazajutrz, po serdecznym i również obfitem w łzy pożegnaniu z rodzicami i Anusią, wyruszył Władysław z domu pod wieczór, mając zamiar jechać całą noc, aby rano stanąć na stacyi kolei w P. Jechał z sercem ścieśnionem żalem i smutkiem, a dokoła kraj widny w świetle zachodniego, jesiennego słońca — cały już osmętniony nieuchwytną melancholią jesieni — dokoła wyżęte pola, na których ciągnęły się jeszcze gdzie niedziedzie rzędy nieuprządniętych kóp — to znów gdzie niedziedzie łąny żółknących kukurydz lub barwnych koniczyn—to wszystko zwiększało w jego duszy wrażenie smutku i tęsknoty. A później, gdy już noc zapadła i księżyc osrebrzył pola, przypomniały mu się owe wieczorne przechadzki z Zosią i owa księżycowa sielanka w polu wśród kóp—i śpiew dziewicy wśród nocy—i wydało mu się to wszystko snem przesłanionym, a tak pięknym i tęsknym, że serce począło mu się rozrywać z żalu po nim. Czuł, że pozostają za nim najpiękniejsze jego dni, jakie raz tylko przeżywa się w młodości. A że jechał sam pośród pól nocnych i milczących, więc nie mógł się obronić przez całą noc temu żalowi i tęsknocie.

Dopiero nazajutrz hałas i gwar na stacyi kolei otrząsnął go nieco z tych smutnych wrażeń, a następnie podróż koleją przyniosła pewną rozmaitość. Czuł jednak, że dając się tak biernie unosić pociągowi, wpada w jakąś odętniałość uczuć, która przynajmniej łagodzi serdeczny ból. Chwilami starał się otrząsnąć z tego stanu myślenia, że jedzie po pracę, która mu zapewni szczęście przy Zosi — i wówczas w istocie serce począło mu bić żywiej i zjawiała się wewnętrzna potrzeba działania i czynu.

Wszakże — po przybyciu do Warszawy—nie mógł na razie zadość uczynić tej potrzebie, dla tego, że nie wiedział, do jakiej pracy ma się za-

brać. Przywiózł wprawdzie z Podola od sąsiadów listy do adwokata B., który miał dużą praktykę i liczne stosunki i mógł być bardzo pomocnym Władysławowi w początkowym jego zawodzie, lecz adwokat był nieobecny i oświadczone Władysławowi, że dopiero za parę tygodni do Warszawy powróci. W pierwszych więc dniach po swoim przybyciu zrobił Władysław tylko tyle, że wyszukał sobie mieszkanie, wynajął je i przewiózł doń rzeczy swe z hotelu, w którym się był na razie zatrzymał. Wynajął sobie pokój niewielki, lecz jasny i słoneczny, o co dbał wielce, posępność bowiem pomieszczenia ogromnie oddziaływała na jego stan wewnętrzny.

Urządziwszy sobie w ten sposób stałe locum, począł znów oglądać się za jakimkolwiek na razie zajęciem, któreby wypełniło mu czas i dostarczyło umysłowi jakiejs rozrywki. Czuł się także ogromnie osamotnionym. W domu przywykł do życia rodzinnego, a tu—obok tęsknoty ku Zosi—żadnego niemal nie miał towarzystwa. Nieliczni znajomi jego, u których bywał jeszcze studentem, nie wrócili dotąd z miejsc letniczych, jesień bowiem tego roku była wyjątkowo piękna i ciepła. Z dawnych kolegów, z którymi żył bliżej, wielu zupełnie wyjechało z Warszawy, drudzy pozostali wprawdzie, ale tych trzeba było dopiero odszukać.

— Gdybym przynajmniej Stacha zastał w Warszawie — pomyślał sobie i zaraz udał się do dawnego mieszkania swego przyjaciela.

Łączyły go z nim bowiem najserdeczniejsze stosunki, które sięgały jeszcze czasów szkolnych. Później wstąpili obaj na prawo i przez cały rok mieszkali razem, mając pod wielu względami wspólność zapatrywań i upodobań. Lecz wkrótce Stanisław był zmuszony wystąpić z uniwersytetu, przebywał pewien czas na wschodzie, aż w końcu zjawiał się w przejeździe w Warszawie, zmierzając do Monachium. Od lat dziecinnych miał pociąg do ołówka, w szkołach jeszcze brał lekcje rysunku i zwrócił był na siebie swymi zdolnościami uwagę profesorów. Ostatniemi czasami, czując wciąż rosnące zamiłowanie przyrody, oddał się całą duszą ukochanej sztuce i chociaż był niemal samoukiem, wybitne wszakże zdolności zastępywały w części brak szkolnej rutyny i bardziej metodycznego wykształcenia. Wreszcie parę jego krajobrazów znalazło nabywcę, i wówczas Stanisław, czując w kieszeni większą sumkę, postanowił udać się do Monachium, dla dopełnienia swego artystycznego wykształcenia.

Rozstali się więc obaj znowu na czas dłuższy, lecz przyjaźń ich zanadto była trwałą, aby rozdział mógł ją ostudzić. Pisywali do siebie często aż do chwili, gdy Władysław, zamiast oczekiwanego długo listu, ujrzał pewnego poranka przed sobą żywą postać swego przyjaciela. Stanisław powrócił już do Warszawy na stałe i zaczął malować swoje stępy, Dnieprowe „porohy," i barwne ukraińskie typy, uciekając parę razy do roku gdzieś pod Humań, do swych stron rodzinnych, bez których widoku nie mógł długo wyżyć i do których tęsknił w Warszawie. Wiosną właśnie wyruszył był w tamte strony i od tego czasu Władysław nic o nim nie słyszał.

Teraz więc, idąc na Hożę, do dawnego mieszkania Stanisława, czuł w sercu szczerą radość na myśl, że za chwilę wpadnie w szerokie, serdeczne ramiona przyjaciela, że ujrzy jego jasną czuprynę i poczciwe oczy, zapalające się żywym ogniem na każdą myśl szlachetną i piękną, że rozpocznie z nim—jak dawniej—te gorące, głębsze rozmowy o życiu, jego ideałach i celach—i te cichsze — o drogich stronach rodzinnych i po—domowych tęsknotach.

Szedł więc szybko, aby tę chwilę przywitania przyspieszyć, z jakąś pewnością niemal, że zastanie go w domu. Wyobrażał już sobie żywo, że go zastanie zapewne przy sztalugach, wykonczającego jakiś krajobraz stepowy, naszkicowany jeszcze w lecie albo wiosną na miejscu.

Jednak — jak tyle innych pewnością w życiu i przeczuć, tak i ta pewność zawiodła Władysława. Stanisława nie zastał i dowiedział się tylko, że w Lipcu przyjeżdżał na tydzień i po-

tem znów wyjechał, nie umiejąc sam oznaczyć chwili powrotu. Zawód ten jeszcze powiększył w Władysławie wrażenie zupełnego osamotnienia. Tęsknota za Zosią ocknęła się w jego sercu także z nową siłą, i stała się wprost bolesną, a wraz z nią tak mu jasno stanęły w oczach ukochane strony dalekie — i tamte lasy — i pola, tak mu się duszno uczyniło wśród ulic i murów miejskich, że uczuł naraz wprost fizyczną potrzebę wyrwania się choć na parę godzin gdzie na szersze przestrzenie, gdzieby było więcej powietrza, słońca i wiatru. Chęć ta opanowała go całkiem. Wsiadł do pierwszego przechodzącego tramwaju, dojechał do rogatek, kupił bilet na koleję i pojechał ku Wilanowu. W Czerniakowie wysiadł z wagonu i puścił się w pole.

Nie znalazł jednak tego, czego szukał. Słońce wprawdzie świeciło łagodnie i był cichy, jasny wieczór jesieni—ale nie taki, jak w jego rodzinnych stronach. Zamiast gęstej, aksamitnej murawy i ról czarnych, deptał tu po piasku szarym i suchym, w którym nogi grzęzły niemal po kostki. Zamiast wzgórz falujących i malowniczych jarów, widział dokoła siebie przestrzeń pól równych, jednostajnych i pustych, a widniejące gdzie niedziedzie smutne o nagich pniach lasy sosnowe nie mogły zastąpić pięknych liściastych gajów Podola. Nawet tego szumnego, zawodzającego hymny i pieśni, wiatru podolskiego nie było. Przeciwnie, w ozłoconem powietrzu była cisza, która mu się wydała dziwnie posępna, martwą niby i głuchą. Nabłakawszy się więc tak przez parę godzin bez celu i ukojenia po polach, wsiadł na idący do Warszawy pociąg i wracał jeszcze bardziej smutny i przygnębiony, niż przed wyjazdem.

Drogą myślał o liście, który wysłał wczoraj do Zosi, w którym wylał całą swą tęsknotę do ukochanej — i wyliczał, kiedy list dojdzie do Orzeszkowicz i kiedy może spodziewać się odpowiedzi. Wyrachował, że odpowiedź nie może nadejść prędzej, niż za tydzień. Tak więc, trzeba było cały tydzień czekać pierwszego od niej listu, który był teraz dla niego rzeczą najbardziej upragnioną i pożądaną.

— Co też napisze i jak napisze to moje ukochanie najdroższe?—rozmyślał, patrząc bezwiednie na mijane stronami pola i farmy podmiejskie. Czy znajdzie w liście ją, żywą, ukochaną moją Zosienkę, czy tylko słowa konwensowne i puste, które nic nie przemówią do serca?

Ale nie, on to wie, że w każdym wierszu i w każdym wyrazie odnajdzie bliską, drogą, serdeczną swoją Zosienkę.

Był już zmrok i w ulicach zapalano latarnie, gdy wysiadł z tramwaju i począł iść ku domowi. Pomimo jednak zmierzchu, wszedłszy do swego pokoju, dostrzegł coś białego na stole. Siegnął ręką—był to list.

— Czyżby od niej?—blysnęło mu w myśli.

Serce zadrżało mu w piersi słodkim przecuciem. Drżącą nieco ze wzruszenia i niepewności ręką schwycił pudełko zapalek, zapalił i podniósł kopertę do oczu. Poznał pismo Zosi.

Wówczas, tłumiąc wzruszenie, zapalił świecę, rozerwał kopertę i wydobyl arkusik papieru, z którego wypadł zaraz malutki, polny kwiatek.

Podniósł kwiatek do ust i począł całować go gorącą i serdecznie, jakby rzecz jakąś czującą i bardzo drogą.

I zaraz począł czytać list.

Zosia pisała serdecznie i prosto, zupełnie tak jak gdyby z nim rozmawiała. Więc najprzód opisywała mu, jak długo tego wieczoru nie mogła ukoić się w płaczu po jego odjeździe, jak potem on się jej snił — ale taki dobry, że obudziwszy się, znów nie mogła pomyśleć o łez i żalu po nim; jak całe dwa dni następne miała bardzo smutne i tęskne, aż gwałtem zmusiła siebie do zajęć i zatrudnień wiejskich i teraz praca cokolwiek ją rozrywa i sprawia ulgę w tęsknocie.

Następnie rozpytywała go, czy ma już jakie zajęcie i w ogóle jak urządził sobie codzienne życie w Warszawie, w końcu zaś pisała te oto słowa:

„Niechże mój Władek nie tęskni bardzo za swoją Zosienką, niech ją kocha i niech będzie spokojny. Ja to wiem, mój Władku, że ta

walka, którą tam wieść będziesz, trudna być musi i ciężka. Jednak pamiętaj, że w każdej chwili złej czy dobrej, w każdej przygodzie ja stoję przy tobie tuż, kochająca i twoja na wieki, gotowa zawsze cię wesprzeć i wspomóc sercem. Pracuj więc i nie trać otuchy, a Bóg dobry ci dopomóż, a ja ci kiedyś postaram się osłodzić to wszystko, co teraz przecierpisz."

Tak pisała Zosia—a on odczytywał po wiele razy jej listy, czując przytem, że płynie z niego wielka słodycz—i dobroć—i coś—czego nie umiał nazwać, niby jakaś moc nieuchwytna, która staje się jego siłą i potęgą wewnętrzną.

Przycisnął więc do ust te drobne, prościutkie literki, kresłone kochaną rączką—i wdzięczny był sercem całemu Zosi za jej myśl uprzedzenia jego listu i napisania do niego pierwszą. Widział w tem nowy dowód jej subtelnego, kochającego serca.

Ze zaś list zastał u siebie w mieszkaniu, nie dziwił się temu wcale zaraz bowiem po przyjeździe złożył na pocztę zawiadomienie aby wszelką korespondencję, przychodzącą do niego „poste-restante“, odnoszono mu do mieszkania, którego adres wskazał.

List Zosi uczynił na nim tak silne wrażenie, tak uobecnił i uprzytomnił w jego oczach postać ukochanej dziewczyny, że miał niemal wrażenie, iż ją widzi i że z nią rozmawia. Usiadł więc zaraz przy biurku, aby przedłużyć to słodkie złudzenie i natychmiast Zosi odpisać i przesiedział przy pisaniu późno w noc.

W ciągu tych pierwszych dni pobytu w Warszawie, mając wiele wolnego i niczem niezajętego czasu, rozmyślał dużo Władysław nad obecnym swym stanem wewnętrznym, nad swym uczuciem ku Zosi, nad temi wreszcie miesiącami szczęścia, które mu upłynęły na Podolu. Patrzył na nie teraz już przez pewną perspektywę przestrzeni i czasu—przez pewien błękit oddalenia—które mu niby srebrzystą gazą okrywało i wypiękniło to wszystko. Ogarniał teraz lepiej już całość wrażeń—i nie mógł przytem nie dostrzedz, jak ogromny przełom nastąpił w jego stanie duchowym w ciągu tych kilku miesięcy. Czuli to wyraźnie, że od pewnego czasu zaczyna jakieś nowe, głębsze i lepsze życie, odmienne i całkiem niepodobne do tamtego, którym żył dotąd. Dłuższy pobyt w domu, a przede wszystkim miłość Zosi ogromnie odświeżyła jego atmosferę duchową, podniosła jego skalę moralną i jakby wprost uświęciła mu serce. Życie odtąd nabrało dla niego zupełnie innego wyglądu, przedewszystkiem pogłębiło się i zabarwiło przedświtem szczęścia. Jednocześnie z rozkwitem uczucie rozbudziła się jakaś neodparta dążność do ideału, do celów podnioslejszych i szlachetnych, oraz potrzeba zrealizowania tych dążeń i zastosowania ich w życiu codziennem. Rozumiał wprawdzie, że odtąd to życie będzie dlań pełne wysiłków i walki nie tylko o byt lecz zarazem i walki wewnętrznej, cięższej nieraz i trudniejszej, niż tamta. Na myśl o tem ogarniała go chwilami trwoga czy nie upadnie, czy zwycięży wszystko i przełamie, czy wytrwa—mając przytem zupełną świadomość tego, że od tych właśnie wysiłków moralnych, od tej jego walki wewnętrznej zależeć będzie los jego przyszły i szczęście życia całego. Lecz trwoga ta ustępowała z jego duszy przy myśli, że miłość Zosi, która właśnie rozbudziła w nim wszelką dążność idealną i szczerą chęć podjęcia wszelkich wysiłków w życiu—że ta sama miłość będzie dlań odtąd oporą w walce życiowej, będzie jego potęgą i mocą do osiągnięcia wszelkich celów szlachetnych, która go nie zawiedzie.

Więc na myśl o tem, chwyciła go wielka rzetliwość i wdzięczność za ten dar w życiu niesłychany—i błogosławił wówczas w sercu cichej dziewczeczce, za to, że zechciała zostać aniołem jego przewodnikiem, że tak oto niemal za rękę wiedzie go w krainę piękna i dobra. Czuli, że jeżeli wyrobi się w życiu na człowieka szlachetnego i pożytecznego dla społeczeństwa—to tylko przez nią.

A tymczasem czuli, że jakoby uświęcający jej obraz nosi w swym sercu—obraz ukochany i jasny—niby jaką relikwią drogą i cudowną, od

której mu idzie moc—i otucha—i jakaś świętość. Więc starał się w codziennem życiu postępować tak, aby niczem jasności tego obrazu nie zetrzeć ani czemkolwiek bądź splamić. Strzegł więc każdej swej myśli i każdego kroku.

Nieraz—podczas coraz już dłuższych wieczorów, gdy czytanie go znużyło i nie miał innego zajęcia, przychodziła mu myśl, że mógłby zejść czas zabić w jakiej restauracji albo „knapjce“, gdzie łatwo mógłby spotkać kogo ze znajomych i przy szklance piwa rozerwać się i pogawędzić. Lecz naraz stawała mu przed oczami duszna, przepojona dymem atmosfera „knapjki“—pełna nieraz wesołego gwaru biesiadników, i czuł, że straciłby tam odrazu tę świeżość duszy, jaką wyniósł z ukochanych swych pól i z obcowania z Zosią. Czuli i to—że w tej atmosferze jej czysty, jasny obraz przyćmiłby się i zbladł, i bolałby go w duszy—tak, jak teraz uszczęśliwia go i koi. Odwracał się więc niemal ze wstrętem od tej pokusy i zwycięstwo przychodziło mu łatwo.

Za to—nawykłszy do ciągłego ruchu na wsi, chodził dużo i odbywał codzienne przechadzki do Łazienek i Belwederu. Wybierał przytem zwykle odludne aleje, aby choć na chwilę się zdziwić samotnością i ciszą i przenieść całą myślą o sto mil.

Przechodził pewnego wieczoru przez ogród Saski, spoglądając ze smutkiem na żółkniejące coraz bardziej liście drzew i myśląc przytem, w jaki to cudowny płaszcz różnierz przystraja gdzieś jesień sady w Kamionce i Orzeszkowcach—gdy w tem o parę kroków za sobą usłyszał gruby głos mężki:

— Władku, zaczekajże trochę!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z OSTENDY.

Początek Września.

Świetny sezon w najbardziej uczęszczanej miejscowości kąpielowej zbliża się ku końcowi. Koniec atoli sezonuznaczony jest bardziej w kalendarzu, aniżeli przez zmniejszenie ruchu na wybrzeżu. Schyłek ostatniego lata w obecnym wieku jest tutaj przesłuszny, słońce tak dogrzewa, niebo tak jest pogodne, a powietrze tak łagodne i spokojne, że można sobie jeszcze wiele pięknych dni rokować.

Wytworne i nadzwyczaj wygodne wagony przy „trains de luxe“, przywożą dotychczas codziennie pokaźną liczbę nowych gości, liczba ta dochodzi od 600 do 800 osób dziennie. Ubytku zatem kąpiących się na rozległej plaży prawie się nie spostrzega, ponieważ równomiernie prawie jest liczba przyjeżdżających i odjeżdżających. Nie brak takich, którzy prawdziwie zmęczeni są świętnością i zbytkiem tutejszego życia i śpieszą odbyć drugą kurację w domu, zowiącą się odpoczynkiem.

Panie tylko niezmordowane są, gdy chodzi o combats de plaisir. Ukryta w wodach morza, narodzona z jego piany, bogini piękna zagrzewa swoje siostrzyce do wynajdywania coraz nowych sposobów podnoszenia wdzięków i piękne panie, których tu jest mrowie, przebiegając się pół tużina razy dziennie, jasnym są dowodem, że i najbardziej skończoną klasyczną piękność strój podnieść jeszcze może. Obserwując tylko przez dwa tygodnie damę, należącą do eleganckiego świata, jest się po prostu zdumionym ilością toalet, jakie tu z sobą przywozi.

Ostenda to istny raj mody, tu jeszcze bardziej aniżeli w Paryżu można w tym przedmiocie odbywać całe studia. Poznałem tu pewną młodą damę, zwracającą powszechną uwagę swym strojem. Po pewnym czasie zdobyłem niejakię pojęcie o wydawanych przez ową damę sumach na różne oryginalne materyały, prawdziwe ko-

ronki, hafty i różne toaletowe drobiazgi; sumy te jednakże niczem są w porównaniu z kosztami, jakie pociąga za sobą robota sukni. Wyobrażam sobie, jak ciężko nieraz wzdychać musi mąż, wysyłający żonę do Ostendy. Zgubne pragnienie błyszczenia, zbytku, zwracania na siebie uwagi, ogarnia tu wszystkie prawie bez wyjątku kobiety, nietylko młode, lecz nawet i starsze.

Przyznać atoli muszę, że jako widz, zapomniawszy na chwilę o złem, tkwiącem w tem nadmiernem strojeniu się, doznawałem prawdziwej przyjemności, patrząc na różnobarwny, świetny tłum kobiet, które szczególnie wieczorem, w casinie, oblane potokami elektrycznego światła, z obnażonymi rękami, z białą szyją, giącą częstokroć pod sznurami pereł i brylantów, snujące się pomiędzy palmami i różnemi egzotycznymi roślinami, wydawały się podobne do istot z czarodziejskich bajek. Zabawy w Ostendzie, są to zebrania najbardziej kosmopolityczne, jakie sobie tylko wyobrazić można. Rozmowa prowadzoną jest we wszystkich językach, obok francuzkiego najczęściej słyszeć się daje angielski. Różne znakomitości świata artystycznego, finansów, polityki, zesceny, mieszają się tu na każdym kroku.

Obecnie w Ostendzie liczba kąpielowych gości wynosi 37,560. Jest to liczba olbrzymia i pomimo niezmiernie wysokich cen w hotelach, trudno choćby o jeden pojedynczy, skromny pokój. Pomieszczenie łatwiej znaleźć w mieście, daleko od morza. Uwzględniając z każdym rokiem większy popyt na mieszkania, który prawdopodobnie w roku przyszłym, z powodu wystawy w Paryżu, jeszcze wzrośnie, towarzystwo noszące miano: „Compagnie internationale des Grands-Hôtels“—zamysła wznieść nowy hotel „Royal Palace Hôtel“, który przepychem przewyższałby jeszcze hotele, budowane przez toż samo towarzystwo w Kairze, Monte Carlo, Nicei i Paryżu. Projekt, żeby na linii do Mariakerke urządzić miejscowość, mogącą współzawodniczyć z Ostendą, która stałaby się domem gry dla high life'u, to jest jakimś nowym Monte Carlo północy, projekt ten upadł. W połowie zeszłego miesiąca nowy hotel został poświęcony. Rozesłano tysiące zaproszeń, lecz salony hotelu tak są olbrzymie, że przeludnienia nie było wcale. Wspaniałe zastawione stoły zajmowały kilometr długości. Szampan lał się strumieniami, a najznakomitsi śpiewacy i artyści muzyczni wykonali dobrowolnie złożony koncert. Z taką to reklamą otwierają tu nowy hotel. Obejmować on będzie 600 pokoiów, dziś jeszcze niezupełnie wykończonych, rozumie się że nie ma mowy, żeby ktoś na piętra dostawał się po schodach. Goście przybywać mają do hotelu najwytworniejszymi trains de luxe, utrzymywanymi przez towarzystwo, pociągi zaś te dojeżdżać będą aż do samych wrót hotelu. Będzie to już trzeci „Cercle“ w Ostendzie. W obecnej chwili dawno już istniejący „Cercle des étrangers“ mało jest uczęszczany, nierównie więcej „Club privé“ przy kursału. Klub ów tak samo jak dom gry w Monte Carlo, daleko szerzy demoralizację. Zawsze w nim pełno, zawsze widzi się tam niezliczoną moc chciwością tchnących twarzy, i co jeszcze potęguje przykre, odrażające wrażenie, to wielka liczba kobiet, które się tam tłoczą nie przez ciekawość jedynie, lecz dla gry hazardowej.

Tyle pięknych kobiet zgromadziło się w Ostendzie, że jest się na prawdziwej wystawie piękności, a wspaniałość strojów podnosi jeszcze świętność tego obrazu i każdej eleganckiej kobiecie nadaje odrębną charakterystykę. Podziwiać tu można w tym kierunku sztukę Francuzek (właściwie ich modniarek) w doborze odpowiednich ram do danego typu.

Zarząd Ostendy niezmordowany jest w urządzaniu i wynajdywaniu zabaw i uroczystości, a nie jest bynajmniej rzeczą łatwą zabawić chciwą rozrywek publiczność, żądającą wczynie czegoś nowego. Niektóre z rozrywek powtarzają się wytrwale każdego roku i nie schodzą z programu zabaw. Przy strzelaniu do gołębi (tir aux pigeons) coraz wyższe naznaczone są nagrody i tu wytworzył się rodzaj hazardu, do którego już sama miejscowość usposabia. Wy-

ścigi w hypodromie, wyścigi cyklistów, regaty, muszą także, o ile można, zmieniać szablonowe programy aby zadowolnić sportsmenów i sportsmenki, śpiewacy zaś i śpiewaczki, przybyszcy tu z najpierwszych miast Europy, urozmaicają czas melomanom.

Pewnej niedzieli zamieniono salę Kursalu na sliczny teatrzyk. Przedstawienie odbyło się na cel dobroczynny. Dawano sztukę Leconte de Lisle'a — „Les Erinnyes“ rzecz, którą z prawdziwą rokoszą wysłuchać można. Miejsca doszczętnie rozprzedano na kilka dni przed przedstawieniem. Naturalnie, że wszystkie role były znakomicie obsadzone, jak np. rola Klytemnestry przez sławną panią Leron, która już w Odeonie w r. 1892 ze świetnym powodzeniem w roli tej występowała.

Sliczna muzyka Masseneta wykonana przez wyborową orkiestrę mogła też wzbudzić wielkie zajęcie, choć kiedy klasycznie piękne wiersze tragedyi, nie rachującej się z efektami nowoczesnej techniki scenicznej, nie wzbudziły zachwytu publiczności, w większości nie zupełnie dobrze władającej francuskim językiem. Nie, już to publiczność w Ostendzie mało jest przygotowaną do poważniejszych rozrywek, nie uwzględniając pewnego poszanowania, z jakim powinno się wysłuchać pięknej sztuki, odegranej przez doskonałych artystów, widzowie zachowywali się wprost nieznośnie. Zgiełek był podczas przedstawienia nie do opisania, śmiechy i rozmowy głośnie krzyżowały się na wszystkie strony. Pośród więc ogólnej wesołości nieszczęsny Orest znika ze sceny, a wielu ze słuchaczy z prawdziwą ulgą oczekuje ukazania się czarodziejskiego baletu...

Świetnym powodzeniem cieszyła się tu niedorzeczna zabawa jaką jest Bataille de confetti. W godzinę po rozpoczęciu zabawy ogromne worki napełnione papierkami i cukrami były puste, Kursal zaś tak był zasypany, że warstwa papierków sięgała do kostek.

Kursal jest to środowisko życia w Ostendzie i bystry obserwator miałby tam rozległe pole do ciekawych spostrzeżeń. Dyrekcyja Kursalu w niektórych swych rozporządzeniach bywa śmiesznie surową. Pojedyncza, samodzielna kobieta, która jako legitymacyi nie przedstawia sobie głowy, ma bardzo utrudnione wejście do Kursalu. Zarząd nierównie chętniej widzi młode osoby wprowadzone przez matki, aniżeli przez panów, chociażby ci podawali się za bliskich krewnych wprowadzonej. Jak wszędzie tak i tutaj spotyka się wiele matek, któreby raczej były, podczas licznych zgromadzeń, znaleźć dla córek upragnionych mężów i zbytecznym jest chyba dodać, że mąż ów powinien być bardzo bogaty, na takiego zaś tutaj każdy prawie pozuje.

Koncerty wieczorne, zabawy tańcujące w Casinie uczęszczane są przez najwytworniejszych gości kąpielowych. Tańce bywają nadzwyczaj ochoczo prowadzone, a zabawy mają bardzo swobodny charakter. Młodym pannom nikt za złe nie bierze jeśli w towarzystwie swych dąsów dla ochłody, wychodzą podczas tańców przejść się nad brzegiem morza. Trzeba przyznać, że zabawy urządzone tutaj nietylko ze zbytkiem, lecz i wielkim wdziękiem, podniesione są niezmiernie tem, że wszystkie eleganckie hotele zbudowane są nad morzem, frontowe okna wychodzą wprost na szumiącą wodę, a schody tarasów prowadzą na plażę. Ci, którzy w hotelachowych mieszkają, wciąż mają morze przed oczami, wieczorem, gdy zgiełek panuje w hotelu i rano, gdy zgiełek przenosi się na wybrzeże.

Dostanie się do kąpieli nie jest rzeczą bynajmniej, łatwą, do południa panuje na wybrzeżu tłok formalny. Dwa tysiące osób odrazu chce wchodzić do wody, a kabin, służących za rozbiernalnie, jest pięćset. Dobijanie się o kabinę (la chasse aux cabines), odbywa się z bezwzględnością wcale nie wytworną. Ze wszystkich stron dochodzą wykrzykniki—*shocking!*—a fotografowie-amatorzy śpieszą ze swemi aparatami, aby chwycić śmieszne lub sensacyjne sceny. Często walka o kabinę kończy się tem, że się dostaje jedną na troje.

Francuzki prześcigają się w wymyślaniu gustownych i kokieteryjnych kostyumów kąpielowych, które podnoszą wdzięki postaci. Skromna angielfka zapomina się i ona, która na przechadźce ukazuje zaledwie koniec bucika, w wodzie nabiera swobody i dokazuje nieraz jak dziecko... Oj! ta woda, zdraczejni, iluż to ona sercom przyspiesza bicie.

Dni przechodzą w słodkim — *far-niente*—i ani się obejrzeć można gdy nadchodzi godzina, że trzeba się z wesołą Ostendą żegnać. Zepsuty becznością i przyzwyczajony do widoku nęcących obrazów, pakuj że teraz kufer i wracaj do pracy. Szczęśliwy, kto przy domowym ognisku łatwo zapomina o doznanych, przelotnych wrażeniach i komu widok własnych kątów, ożywionych sercem kochającej rodziny zakrywa nęcące wspomnienia blasku i zbytkownych rozrywek.

Es.

Kto zawinił

przez
AL. ŚWIERKA

W pokoju zapanował zmrok zupełny, tak, że młody poeta przestał czytać. Szare cienie zacierają rysy jego twarzy, wśród której tylko świeciły oczy wyiskrzone i utkwione w panią Alinę.

A pani Alina zagłębiona w miękki, bujającym fotelu patrzyła w te oczy i uśmiechała się. Bawił ją ten młodziutki poeta taki w niej zakochany, bawiła nerwowa żartobliwość tonu, którą usiłował w rozmowie pokrywać swoje wzruszenie, a wiersze, które czytał, podobały jej się naprawdę. Były w nich czasem takie subtelne określenia, tak doskonale schwycone pół-nastroje, które sama odczuwała, choć ich przed sobą określić nie umiała, a zwłaszcza, przedewszystkiem mówiły jej ciągle o niej samej. Nie było tam ani jednego słowa do niej zwróconego, nie było nawet wzmianki, że tęsknoty niby-abstrakcyjne ją mają na celu, a jednak czytała to wyraźnie między wierszami.

O czemkolwiek tam była mowa, o kwiatach, czy krajobrazach, czy takich lub innych chwilach, zawsze urok, jaki dany przedmiot miał dla poety, nastrój, który w nim wywoływał, pokrewny był zupełnie urokowi szczególnemu, jaki miała dar wywierać na ludzi pani Alina, nastrojowi w jaki się wpadało rozmawiając z nią, lub patrząc na nią. Więc pani Alina uśmiechała się, bo jej to sprawiało przyjemność.

Wogóle było jej przyjemnie w danej chwili. Zmrok stał się w buduaru miękki, zaciszny, czyniąc go jeszcze miększym i bardziej zacisznym. W zmroku niskie, ciemne meble nabierały fantastycznych kształtów, a ciężkie, nieruchome fałdy portyer stawały się tajemnicze, prawie że groźne. Wśród szarego cienia otulającego wszystko bielały tylko zwieszony główki cyklamenów na niskim stoliku, a z głębi pokoju pachniały odorującą hyacenty.

Wszystko razem było przyjemne i przyjemna ta cisza, co zapanowała, gdy autor skończył czytać swoje poezje i ośmielony zmrokiem, zaczął się wpatrywać w delikatną, uśmiechającą się z lekkim sarkazmem twarz pani Aliny. Taki jednak był jeszcze nieśmiały i tak się nie umiał zorientować w sytuacji, że nie považył się dotknąć jej ręki, która zwieszona przez poręcz fotelu, wśród ogólnego cieniu zdawała się nietylko biała, ale jakby zlekka promienną.

Ją to właśnie bawiło, ale i niecierpliwiło trochę zarazem. Nudziła się i chciała rozrywki, jakiejs rozrywki delikatnej i denerwującej, chwila była taka odpowiednia. Widziała w tym młodym chłopcu tyle świeżości i oryginalności, a tak

ją przytem interesował swą żywą inteligencją, że spodziewała się dość przyjemnych wrażeń przy bliższym z nim stosunku, a przytem lubiła, nadewszystko lubiła odgrywać rolę muzy! Ujął jej się to już tyle razy w życiu, a dotąd się nie sprzykrzyło... a raczej sprzykrzyło się mniej niż inne rzeczy...

Wtem w sąsiednim pokoju rozległy się kroki, wielbiciel pani Aliny drgnął i mimowoli odwrócił oczy, a za portyerą zabrzmiał głos służącego:

- Proszę jaśnie pani, telegram.
- Coż to znowu?—ozwała się niechętnie.
- Zapal światło.

Po chwili błysnął płomień oświecając ładną, choć zmęczoną twarz pani Aliny, która obojętnie podpisała receptis i rzuciwszy swemu towarzyszowi miłe: przepraszam, miękki, trochę stłumionym głosem, rozdarła telegram. Ale za ledwo rzuciła nań okiem, rysy jej zmąciły się nagle. Zawidniało na nich przerażenie, przemknął kurcz bólu, chwila osłupienia, wszystko zadrgało jakby do płaczu, potem czoło przecięła zmarszczką, a usta się zacisnęły boleśnie, ale stanowczo. Rzuciła dokoła wzrokiem trochę błędnym, potem przytomniejszym, sięgnęła ręką po zegarek, nie znalazła i zapytała krótko swego towarzysza:

- Która godzina.

— Kwadrans po czwartej—odpowiedział machinalnie, ledwo na chwilę zdjawszy spojrzenie z jej twarzy.

Pani Alina zadzwoniła.

Niech tu Wanda przyjdzie natychmiast, rozporządziła służącemu, a wielbicielowi z pięszczołiwą prośbą:

— „Mon ami, allumer la lampe, s'il vous plait.“ Gdy zaś weszła służąca, powiedziała trochę zdyszany głosem:

— Spakuj mi natychmiast neseser podróżny i tłumoczek z bielizną, wszystkiego po sześć i po trzy, dwie suknie prócz podróżnej, żakiet, rotundę i wszystko co potrzeba na wies. Za pół godziny musi być gotowe!

Wypowiedziała to bez namysłu i nie zważając na obecność towarzysza, ale gdy ten chciał się wysunąć, rzuciła mu błagalne spojrzenie, mówiąc:

— Drogi panie Stanisławie, niech się pan poświęci i zostanie ze mną w tej ciężkiej chwili. Tak mi potrzeba pomocy!

Swoją drogą dawała sobie rady wybornie. Żywym ruchem, zupełnie odmiennym od jej uprzednich, leniwych poruszeń; podniosła się z fotela i usiadłszy przy biurku, otworzyła jedną, że slicznie ornamentowanych szufladek, wydobywała pieniądze, papiery.

Stanisław tymczasem podniósł z ziemi telegram i przeczytał:

„Sigismond très malade, arrivez, Etienne. Nie miał pojęcia, kto był Zygmunt, ani kto Stefan, panią Alinę znał od niedawna, wiedział o niej tylko, że była zachwycająca, inteligentna, majątna i że nie żyła z mężem, zresztą się nie próbował dowiedzieć. Było mu to wszystko jedno. Kochał ją, to mu wystarczało. Była dla niego najpiękniejszą na świecie, jedynie piękną jedyną... a pozatem! Wszystko przestawało istnieć. I teraz zrozumiał tylko, że ona odjedzie i że w danej chwili on jest jej bliskim...”

Wtem wpadły do pokoju dwie dziewczynki już podрастаjące z ogromnemi rozpuszczonemi włosami dokoła slicznych twarzyczek, w tej chwili okropnie wystraszonych, tak, że wielkie oczy z firankami ciemnych rzęs zdawały się prawie okrągłe.

- Mamusiu, co się stało?

- „Qu'est ce qu'il ya?”

— Zygmunt zachorował, Papa telegrafował do mnie; nie bójcie się! Wszystko będzie dobrze, musicie jechać natychmiast.

Dzieci rozplakały się.

— Ach! „Vous me donner sur les nerfs!”—zawołała matka z niecierpliwością.

— Mamo, co Zygmusiowi jest?—pytała wśród łez jedna z dziewczynek.

— Mamo, to nie pojedziemy jutro do pani Wislańskiej?—zagadnęła druga niespokojnie.

— Możecie pojechać z panną Wrzewska, napiszcie do niej. Niewiem, co mu jest. Odejdźcie, bo mi przeszkadzacie.

— Mamu, mamu, ale pojedziemy z mamą na kolej?—dopytywała się uporczywie młodsza czeplając się rękawa matki.

— Nie, nie pojedziecie. Mogłybyście się przeziębici. Ztesztą czasu niema. Proszę mi nie zawadzać.

Dzieci, widocznie karne, usunęły się z pokoju.

— „Pauvres petites!“ Odwiedzi je pan w mojej nieobecności, prawda? A teraz proszę, niech pan przerachuje te pieniądze i włoży tu, osobno ruble, osobno reńskie.

Podala mu paczkę banknotów i pugilares, sama pośpiesznie nakreśliła kilka słów do nauczycielki córek, potem wstała.

— Ma pan czas odwieźć mię na kolej?

— Odprowadzę panią do granicy, jeśli pani pozwoli.

— Dobry, kochany!... — Podala mu rękę, pozwoliła mu przez chwilę do niej usta przyciskać, potem, usuwając delikatnie:

— Która? Za dwadzieścia piąta? W dziesięć minut będę gotowa.

Znikła, a razem z nią rozwiął się subtelny zapach fijołków, który ją zawsze otaczał.

Stanisław stał trochę odurzony, wzruszony i zdziwiony zarazem. Ten Zygmuś, to był widocznie jej syn, a jednak nie robiła wrażenia zropaczonych matki. Praktyczna stanowczość, z jaką od razu przygotowała się do podróży zaimponowała mu. Dziwne to było trochę, może dowodziło braku serca, ale on się nad tem nie zastanawiał. Kochał ją taką, jaką była, nie za jakiegoś zalety, ale dlatego poprostu, że mu w duszę rzuciła iskry, z której buchnął jasny płomień i ogarnął go od razu. Sypała ona te iskry dokoła, jak krzemień, sama nietknięta; cóż ztąd? Tem więcej miała uroku!

Gdy zjawiła się już przybrana do podróży z drobną, wykwiętą twarzą wychylającą się z futrzanego kołnierza rotundy, zdała mu się wcieleniem czaru kobiecego.

Dzieci kręciły się koło niej popłakując zeicha.

— „Au revoir, cheries.“ Napisałam do panny Wrzewskiej, ona się wami zajmie. Lili niech jutro jeszcze nie idzie na ślizgawkę, bo ma katar. Pojutrze możesz, jeśli wiatru nie będzie. Sukienki do pani Wiślańskiej Wanda wam przygotowuje. Proszę słuchać panny Wrzewskiej i nie siedzieć zadługo na ślizgawce. Adres wam zatelegrafuję. „Au revoir petites mioches.“ Adres zatelegrafuję.

Nachyliła się, tuląc dzieci, które ją dusiły w uściskach bez końca. Nareszcie się wyrwała i przesławszy im ręką ode drzwi pocałunek wyszła.

Stanisław schodził za nią na dół w milczeniu. Nie wiedział, co mówić. Na dworze wionął im w twarz ostry, mokry wiatr, ale zatrząsnęto drzwi karetki i pojechali: Pani Alina również nie nie mówiła. Z gorączkowym pośpiechem naciągała, rękawiczki. Zebysmy się tylko nie spóźnili—powtarzała nerwowo.

Rzeczywiście przyjechali w ostatniej chwili i ledwo zdążyli wskoczyć do wagonu. Dopiero gdy pociąg ruszył, a za wielką szybko zaczęły migać iskry z lokomotywy, pani Alina rozpląkała się. Dotąd nie miała na to czasu.

Stanisław widząc jej łzy, stracił przytomność. Sam nie wiedział, co robi, czuł tylko, że obie jej ręce trzyma w swoich, że jest bardzo blisko niej, i z tej chwili zostało mu tylko potem zmieszane wrażenie huku i wstrząsnień pociągu, łagodnie przyćmionego światła w aksamitnym przedziale i jakiegoś słodkiego dreszczu rozkoszy, który go przeniknął na wskroś tak, że na mgnięciu oka przerwał się wszystkie nici świadomości.

Na mgaienie oka?... a może na długo... nie wiedział, jak długo... nie nie wiedział... Ale pani Alina wiedziała. Ta kobieta była zawsze panią siebie i położenia. Robiła częstokroć rzeczy szalone na chłodno z zupełną świadomością tego, co robi i to jej zapewniało ogromną przewagę wobec wszystkich, którzy przy niej nieodmiennie głowę tracili.

I teraz uspokoiła się szybko. Odjęła swoje ręce Stanisławowi, ładnie, zρέcznie otarła twarz i oczy, nieznacznie zerknęła w lustro i zdejmując kapelusz, powiedziała pełnym jeszcze łez głosem:

— Biedny mój Zygmus, on taki delikatny. Nerwowo! Pan niema pojęcia, co to za subtelna natura. I jak on tam żyje z tym ojcem... gburam? To zabójcze dla takiego dziecka... On potrzebuje miłości!... Ach, gdyby pan czytał listy, jakie on do mnie czasem pisuje. „C'est navrant,“ tak tęskni za mną, za tą atmosferą, którą miał w domu. „Et parfois des remarques d'une finesse... „C'est incroyable!“ Ogromnie to dla mnie bolesne, że musiałam się z nim rozstać!... Cóż, ojciec tego zażądał wyraźnie, twierdził, że go rozpieszczę. Naturalnie!—zaśmiała się gorzko—ja się umiałam obchodzić z tym chłopcem, rozumiałam go... Biedactwo! Co mu też jest?... Pan widział jego fotografią. Jakto nie widział pan u mnie na biurku? Jest ich ze cztery. Na cóż pan patrzył?—Spojrzała na niego zalotnie ze zdziwieniem niby szczerem. Zrobiła to zresztą prawie machinalnie, a właściwie oczy same spojrzały. Jak mówi stara pio-senka:

„Takiemi patrzała,
Bo innych nie miała.“

Ale na twarzy Stanisława odbijało się zdziwienie, coraz wyraźniejsze zdziwienie górujące nad podziwem, który przedtem gorzał w jego oczach. Pani Alina jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, zbyt była poruszona. Mówiła tylko wciąż czując potrzebę wygadania się.

— Taki ładny. Ach, śliczny! Co za oczy! Niema pan pojęcia, jakie ma spojrzenie. Oczy podobne, jak u mojej Anny, oprawa zupełnie taka sama, tylko wyraz inny. „Elle a des yeux d'enfant,“ u niego jest spojrzenie bezdennie smutne. I wie pan, to jest spojrzenie cierpiącej kobiety. Pamięta pan to określenie Wiktora Hugo? „même quand la bouche souriait, les yeux restaient tristes. Otóż Abuś ma to samo. Przytem pleć!... niejedna dama mogłaby mu pozazdrościć prawdziwie „un teint de lis et de roses.“ Nosek ma tak regularny... Teraz podobno zbrzydł. „Vous savez, l'age ingrât...“

Ale będzie nadzwyczaj przystojny; „il a du charme.“ No, i ma niesłychane szcześnie do kobiet, nawet teraz w siedemnastym roku życia... A co za inteligencja! Zawsze był niesłuchanie rozwinięty. Naprzykład kiedy miał piąty rok i była mowa o głodzie we Francji, czy czemś podobnym, odezwał się nagle, że to pan Bóg karze Francuzów za to, że swego króla zamordowali. I to pięciu lat nie miał. Czy pan uwierzy?... Albo jak czytał powiastkę Ouidy „Le petit comte,“ (prześliczna powiastka, rzeczywistość), powiedział: „Ten mały, to już nie pergaminowy szlachcie.“ Miał wtedy siedem lat. Taki jest do dziś dnia. Cóż to, dziecko, a jak on rozumie Loti'ego, jak potrafi ocenić każdą subtelność... „Figurez-vous,“ ja przed rokiem niespełna toczyłam z nim całe dysputy o poezji z prawdziwą przyjemnością... I wyobrazić go sobie zamkniętego z takim ojcem! Wychowa go po swojemu!... znów wybuchnęła ostrą ironią, zaciskając drobne usta, a w oczach jej zamiast rozrzewnienia błyskała zawziętość.

Mówienie jednak sprawiło jej widoczną ulgę odrywając myśli od niepokoju i trwogi, przed którą uciekała. Mówiła też w dalszym ciągu o Zygmusiu, jego zdolnościach, niezmiernej delikatności uczuć, jakiej miał sposobność dowieść w tak drażliwym położeniu często się znajdując.

— A, zobaczę mego męża — powiedziała mi mochoodem—z górą dziesięć lat, jak rozstał się. Od tego czasu raz go tylko widziałam.

Zamyśliła się na chwilę, ściągając brwi surowo. Szczególna rzecz, że na wiadomość o chorobie syna silniejszą od smutku i niepokoju zdawała się zawziętość do męża. Nie mówiła jednak o nim nic więcej. Wogóle zbliżając się do granicy zamilkła i z rozręgnięciem patrzyła na swego towarzysza.

Stanisław poszedł z nią do sali rewizyjnej i towarzyszył jej następnie do restauracyi. Tutaj na progu wykrzyknęła radośnie:

— A, witam pana.

Jakiś jegomość wymuskany i dość pretensjonalnie ubrany zbliżył się do niej z wyskokiem i zaczął od razu ożywioną rozmowę. Wkrótce przyczepił się do nich inny i we troje zasiedli do herbaty w wybornych humorach.

Młody poeta, choć go z nimi zapoznała, siedział chmurny zdaleka, a w spojrzeniu miał wyraz zdziwionego i strapionego dziecka. Spoglądał na panią Alinę i oczom nie wierzył. Zachowywała się wprawdzie spokojnie i, mówiła tonem dość poważnym, trochę zgóry, ale mimo to flirtowała w najlepsze z oboma swymi sąsiadami.

Wtem jeden z nich spytał ją dokąd jedzie.

Zasępiła się nagle.

— Do mego syna, który jest chory. Zamilkła potem przez chwilę i widocznie opadły ją przykre myśli, ale szybko się z nich otrząsnęła i próbowała zabawić się dalej.

Kuryer do Warszawy!

Zerwali się wszyscy z miejsc w sali powstał tłok i zamieszanie. Pani Alina teraz dopiero przypomniała sobie egzystencję Stanisława.

— „Au revoir, cher ami“ — powiedziała znów czule, ale już z mniejszym powodzeniem niż w Krakowie. — Dziękuję, dziękuję panu serdecznie... Nigdy nie zapomnę życzliwości pana... Odwiedzi pan czasem moje dziewczynki, prawda?... Do widzenia!...

Uścisnęła mu rękę przeciągle, choć delikatnie, on zaś dość chłodno dotknął ustami jej rękawiczki, i pozostał w sali. Tam dwaj odprowadzali ją do wagonu, wrócił zaś jeden tylko, drugi pojechał razem.

— Opatrzność mi pana zesłała, — mówiła pani Alina, gdy siedzieli już w przedziale dla niepalących. — Tak się boję zostać samą ze smutnymi myślami. — Spać i takbym nie mogła...

Rozmawiali tedy, krępowani cokolwiek obecnością trzeciego pasażera, który również do snu nie miał ochoty. Pani Alina zresztą nudziła się; uprzedni towarzysz dogadzał jej o wiele lepiej i myślała o nim z pewną tęsknotą. Ten flirtował banalnie, tamten zaś był cały pochłonięty myślą o jej strapieniu i kłopotach.

W Warszawie rozstali się, i sama już przebywała miasto pogrążone w mroku porannym i duszącej mgie przetykanej żółtymi kręgami światła latarnianych. Gdy wjechała na most owioną ją nagle chłód lodowy idący od zmarzniętej Wisły. Wstrząsnęła się i szczerzej się otuliła rotundą.

Pani Alina nie była nerwową, chociaż obraziła się śmiertelnie, gdyby jej to kto powiedział. Ona przecież uważała siebie właśnie za jedną z istot „końcówkowych“ o wysubtelnionych nerwach stanowiących ich treść samą. Wciąż analizując swoje uczucia i wrażenia, twierdziła, że doprowadza swoje nerwy do ostatecznego naprężenia, podczas gdy to właśnie było dowodem ich wytrzymałości. Na jej miejscu inna, wrażliwsza, byłaby przy tym sposobie życia dawno wpadła w jakąś nerwową chorobę. Pani Alina pozostała zawsze stanowczą, pewną siebie i z chłodem niepozobawionym wykwiętego cynizmu robiła doświadczenia na sercu i nerwach własnych lub cudzych, próbowała wszelkich wrażeń, sytuacji drażniących, bawiła się wszystkimi stopniami i odcieniami flirtu, a dzięki żywej i subtelnej inteligencji zaprawiała go sobie sosem literacko-artystycznym... i w rezultacie miała niesmak, nudę i ciekawość coraz nowych wrażeń, a w dodatku mechaniczne przyzwyczajenie do flirtu, który stał się u niej naturą, wrósł w jej istotę razem z próźniactwem.

Tego dnia jednak była naprawdę zdenerwowaną, zmęczona podróżą, rozdrażniona niepokojem. Nie mogła połączyć myśli, które się goniły i plątały w jej znużonej głowie, wydobyła więc z nesesera podróżnego jakiś zachwycający flakon i zażyła z niego jakiegoś niezmiernie wykwiętnego krople, które pewien znakomity lekarz przepisał na uspokojenie nerwów zaprzyjaźnionemu z nią sławnemu artyście. To lekarstwo przy-

wróciło choć w części równowagę stroskanemu sercu macierzyńskiego.

Znowu jazda, znowu turkot i trzęsienie pociągu, znowu duszna wagonowa atmosfera, a za szybami teraz nieskończone, nudne, białe płaszczyzny, tu i ówdzie lasem uczernione, czasem na krańcach widnokregu kurzące się śnieżnym tumanem, który wiatr rozdmuchiwał w szeroką przestrzeń...

Jakaś pustka, jakaś melancholia wiała od tych równin, co się zdawały niezamieszkałe. Trywialna nuda ogarniała na widok wielkich budynków stacyjnych, gdzie się przepychali ludzie zsiniali od zimna. A gdy zapadł wczesny mrok i za oknem zaczęły latać czerwone iskry tworząc mnóstwo porwanych smug światła, panią Alinę owładnął drażniący niepokój oczekiwania i rósł z każdą chwilą.

Wagon był słabo oświetlony odłożyła więc romans, który cały dzień czytała i przesunęła ręką po bolącym czole.

W myśli jej plątały się chaotycznie obrazy scen świeżo przeczytanych wraz z pytaniem dręczącym, które, choć je przytłumiała, wciąż na powierzchnię wypływało. Co dziecku jest?

Nagle huk pociągu wzmógł się w dwójnasób, iskry pociemniały i purpurowymi błyskami rozświetlały kłęby brudnej pary, które przez szeliny szyb wciskały się do wagonu, zdawało się, że pociąg gdzieś się urwał i leci w otchłań piekielną... Pani Alina wstrząsnęła się...

— Ach, to tunel za Landwerowem! Zaraz będzie Wilno!...

Uczuła ogromną trwogę. Cała jej natura wzdygała się przed spodziewanym cierpieniem i gotowa była jechać na kraj świata, byle się nie zatrzymać, nic złego nie usłyszeć, o niczem się nie dowiedzieć...

Pociąg jednak stanął...

Wzruszona, niespokojna, znalazła się na platformie i podniósłszy głowę rzucała dokoła bystre spojrzenia.

Wtem jakiś pan przechodząc zatrzymał się, spojrzął raz, drugi, potem szybko się zbliżył i w milczeniu wziął ją za rękę.

Wydała lekki okrzyk, cofnęła się trochę i sama nie wiedząc co mówić, ozwała się jakimś fałszywym tonem:

— „Comment, c'est vous?”

Mogła to zresztą powiedzieć, bo mąż jej zmienił się bardzo. Postarzał, posiwiał, miał na pięknych rysach wyraz troski i bólu. Zupełnie był niepodobny do tego, który przed kilkunastu laty podobał jej się nawet wówczas, gdy ją do wściekłości doprowadzał.

Usłyszawszy zapytanie spojrzął na nią boleśnie i z pewnym zdziwieniem; nad zdziwieniem przeważał jednak głęboki, ogromny smutek, ale natychmiast w oczach zabłysła ironia, i z uśmiechem pełnym gorzkiego sarkazmu odpowiedział:

— „Mais oui, c'est bien moi.”

Pani Alina jednak zatrzymywała jego rękę, ściskając ją bezwiednie nerwowo i nie ruszała się z miejsca.

Patrzyła tylko niespokojnym wzrokiem, który go błagał, aby pierwszy przemówił, a po długiej chwili milczenia zapytała z wysiłkiem:

— Cóż, jakże tam?

Mąż jej odwrócił oczy.

— O... niedobrze.

Pani Alina krzyknęła, poblądła, wpiła mu palce w ramię i wyjąkała:

— Jakto... co mu jest?

— Potem powiem — odszepnął ledwie dosłyszalnie — „venez avec moi.”

W pierwszej chwili pani Alina tak była ogłuszona, że dała się machinalnie prowadzić i machinalnie też odpowiadała na pytania dotyczące rzeczy, biletów i t. p.

Dopiero gdy mąż wsiadając za nią do dorożki rzucił adres: do Żorża! zapytała.

— Jakto, to tu, w Wilnie?

— Tak — odpowiedział — przyjechał zdawać egzamin.

— Ach, i przeziębł się pewno, zdenerwował

— Tak... zdenerwował...

— Na miłość Boga! — krzyknęła nagle tak, że głos jej rozległ się donośnie nad turkotem mnóstwa kół po nierównym bruku i gwarem ulicznym — na miłość Boga, mówże! co mu jest... co się stało... a widząc wyraz twarzy męża uczuła coś jakby przeblask strasznej prawdy, jakby powiew czegoś okropnego, co ją na mgnienie oka ścięło, uczyniło jakby martwą i z wyrazem bezmiernego przerażenia wyjąkała bladymi ustami:

— Czy... czy?... nie mogła, nie śmiała dokończyć.

Ale mąż jej odpowiedzieć również nie mógł. Po twarzy jego przebiegł spazm bólu i obie ręce przycisnął do skroni zwieszając głowę.

Była w tym ruchu taka rozpacz bezmierna, taka głębia bólu, jakiej ładne, wyraziste rysy pani Aliny ujawnić nie były w stanie. Na jej twarzy malowało się w tej chwili tylko osłupienie, okrutna jakaś trwoga. Zresztą wszystko migotało w niepewnym świetle ulicznych latarni i gubiło się w zmroku.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Berlinie zawiązuje się nowe stowarzyszenie kobiece; pod nazwą „Berlińskiego klubu kobiet”, stowarzyszenie to ma zamiar jednoczyć, zapoznawać i przez wymianę myśli kształ-

cić szerokie grona kobiet, które schodzić się będą mogły w wolnych chwilach w pięknym, wygodnym lokalu, gdzie znajdą dzienniki, pisma ilustrowane, książki, salę muzyczną, bibliotekę, pokój stołowy, i liczne koło kobiet ze wszystkich sfer pracujących, od wyżyn sztuki i inteligencji do skromnej gospodyni domu, pragnącej po domowej krętaninie zaczerpnąć nieco światła dla umysłu i pokrzepienia swych duchowych pragnień i zamiłowań. Statut opracowano przedwstępnie, a na zebraniu ogólnem zostanie szczegółowo obróbyony. Warunki należenia do klubu będą bardzo przystępne aby i paniom mniej zamożnym umożliwić wejście do stowarzyszenia.

— Założony niedawno w Stuttgardzie „Związek dozorczyń dla chorych“ znajduje coraz więcej poparcia. Przybywają coraz nowe osoby pragnące się miłosiernemu dziełu poświęcić, a lekarze oraz publiczność bardzo się przychylnie odnoszą do nowej instytucji. Związek wysłał swe dozorcynie tam, gdzie Siostr Miłosierdzia już braknie dla niesienia pomocy biednym chorym samotnym i opuszczonym.

— Na skutek podania „Alzacko-Lotaryngskiego Związku nauczycielek“ w Strasburgu, usunął tamtejszy senat uniwersytecki ten paragraf ze swojej ustawy, który zabraniał kobietom uczęszczania na wykłady. Teraz wrota uniwersytetu stanęły ogólnie w zasadzie otworem dla kobiet, dzięki przedewszystkiem obecnemu rektorowi D-rowsi Theobaldowi Ziegler'owi, uczęszczanie ich jednak na wykłady i należenie do specjalnych studyów i ćwiczeń seminaryjnych zależeć jeszcze będzie od zapatrywań na tę sprawę poszczególnych profesorów i docentów, którzy mają prawo nieprzyjąć słuchaczek na swoje wykłady.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 8-my.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Jubileusz Arcypasterza.—Po wakacjach, przez Szczęsną.—Kołysanka, przez Władysława Nawrockiego.—Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Z Ostendy, przez Es.—Kto zawinił, przez Al. Świerka.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 8-my.—Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Suknia jesienna z krótką pelerynką.

Rycina Nr 1. (Krój pierwsza strona tablicy Nr I. fig. 1—12).

Suknia z jasno-popielatego kortu i czarnej materii. Boki spódniczki ułożone z czarnej materii, zapięte wiązaniem z popielatego sznura; takie same przybranie powtarza się na staniczku. Kamizelka układana z czarnej materii (ranywersy), wyłogi haftowane. Pasek z czarnej materii. Krótka pelerynka z wyłogami uzupełnia bardzo elegancką całość.

Toczek aksamitny.

Rycina Nr 2.

Toczek z ciemno - fiołkowego aksamitu, bardzo zręcznie udrapowany, z lewego boku podniesiony, przybrany dużym puklem, ułożonym z aksamitu, spiętym pośrodku klamrą ze strasu. Na upięciu na główce takież sam pukiel aksamitny. Od tyłu podpięcie z ciemnych fioletowych aksamitnych róż i egretka z dwóch czarnych strusich piór.

Kapotka strojna jesienna lub zimowa.

Rycina Nr 3.

Kapotka bardzo ładna, strojna, przeznaczona na koncert, lub do teatru. Główna wykonana z ciemno - zielonego aksamitu i także same objęcia u rękawka. Z prawego boku udrapowanie z białej gazy, spiętej dużą fantazyjną klamrą, z lewej strony ułożone trzy zielone pióra do cieniu. Z tyłu podpięcie z białej gazy.

Kapelusz okrągły filcowy.

Rycina Nr 4.

Kapelusz bardzo ładny z popielatego filcu, z lewego boku podniesiony. Rondko od spodu podszyte białą jedwabną gazą. Podpięcie z boku i przybranie wokół główki składa się z szeregu małych pukli z czarnego aksamitu, spiętych małymi klamerkami z białej, perłowej masy. Trzy piękne, czarne strusie pióra dopełniają bardzo wdzięcznej całości.

Jesienne długie okrycie i kapelusz.

Rycina Nr 5.

Długi, weinany płaszcz angielski, z piaskowego koloru syberyjny wykonany, spięty na trzy duże, fantazyjne guziki, przybrany nałożeniem z ciemniejszej syberyjny tego samego odcieniu. Kołnierzyk stojący i dwie kieszenie z przodu objęte nałożeniem. Rękawy obcisłe, gładkie, tak samo przybrane. Podszewka atlasowa w pasy białe z zielonym. Kapelusz okrągły z zielonego, jedwabnego filcu, przybrany białą, atlasową wstążką i piękną, fantazyjną klamerką.

Jesienne ubranie formą „princesse.”

Rycina Nr 6.

Piękny ten kostium jesienny jest wykonany z wełny ciemnej w odcieniu „fraise” formą „princesse,” zakończoną z tyłu i z przodu w dwa śpiczaste zęby rzucone na odciętej, szerokiej falbanie, przszytej do spodniej

spódniczki, wykonanej z kanausu tego samego odcieniu. Krótkie bolero, wycięcie z przodu, kołnierzyk dół „princessy” i spódnicy, przybrane są naszyciem z czarnego mohair'owego sutaszu. Napierśnik z wysokim kołnierzykiem z jedwabnej materii w białe i niebieskie paski. Fantazyjny kapelusz z filcu, tego samego odcieniu, co i suknia, przybrany podpięciem z aksamitnych, białych kwiatów i trzema do cieniu ułożonymi strusimi piórami. Główna objęta aksamitem.

Kostium szkolny dla dziewczynki od 8 — 9 lat.

Rycina Nr 7.

Kostium wykonany z granatowego szewiotu. Spódniczka z szeroką plisą z granatowej alpagi, naszyta pięć razy granatową pasmanterią. Paltoćik prosty z wyłogami, nałożonymi kołnierzykiem z haftowanego batystu „écru,” na atlasowej, niebieskiej podszewce. Bluzka z wykładanym kołnierzykiem z ponsowej wełny. Krawatka z granatowego atlasu. Kapelusz z granatowego filcu, przybrany wstążką w kraty ponsowe z granatowym. Kostiumek ten bardzo ładny i praktyczny dla młodych pensyonarek.

Peleryna jesienna i kapelusz.

Rycina Nr 9.

Oryginalna, do strojnego ubrania bardzo odpowiednia peleryna z żółtawego sukna, podbita

ponsową materią; na ramionach obcisła, u dołu zakończona dwiema szerokimi falbanami. Ponad drugą falbaną kilkanaście razy przestębnowana, także same stębnowanie powtarza się na wysokim, wygiętym kołnierzu i szerokim kapturze, podszytym wewnątrz ponsową, jedwabną, marszczoną gazą. Z przodu upiększa pelerynę wspaniały krawat z białej, jedwabnej gazy, z bardzo długimi końcami, kilka razy przemarszczonymi, zakończonymi haftem „point-lace.” Odpowiedni kapelusz fantazyjny z ciemno-ponsowego aksamitu; rondo podniesione, naszyte wążkami rolkami z żółtej materii; z wierzchu przybrany żółtymi piórami strusimi do cieniu i fantazyjną kokardą z białej, jedwabnej gazy. Z lewego boku podpięcie z żółtych, matowych róż.

Suknia dla starszej osoby.

Rycina Nr 10.

Piękna, jasno-popielata wełna jest bardzo odpowiednią na taką suknię. Spódniczka gładka, na bokach obcisła, poniżej szeroko falująca się, u dołu naszyta dwiema zastębnowanymi pliskami z tego samego materiału. Prząd spódniczki naszyty także pliskami formuje rodzaj tiuniki. Staniczek z dłuższymi przodami, zakończonymi w zęby, przybrany pliskami. Biała, jedwabna kamizelka, pokryta kremową gipiurą, przepięta czarnymi aksamitkami i klamrami ze strasu, nadzwyczaj przyozdabia staniczek. Kołnier „à la Médicis,” wycięty w trzy okrągłe zęby, Ręka wy przybrane pliskami, przy rękę rozszerzają się w formie kielicha.

Suknia wizytowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 11.

Suknia, wykonana z zielonego kaszmiru. Staniczek na przodzie i po bokach wycięty, podłożony białą materią, naszytą w nieforemne wzory ciemnozielonymi aksamitnymi riuszkami; w ten sam sposób zrobiony stojący kołnierzyk i epoletki na rękawach. Kamizelka z materiału, ozdobiona po obu stronach u góry i u dołu dużymi, fantazyjnymi guzikami. Spódniczka u dołu wycięta w klapy, podłożona również materią, naszytą riuszkami, klapy objęte pliską z materiału. Całe to przybranie sukni robi bardzo do twarzy i czyni ją zupełnie niewzycyzną.

Peleryna z materiału „double face.”

Rycina Nr 12. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—17).

Skromna i bardzo gustowna pelerynka z materiału „double face,” przybrana czarnymi, aksamitnymi pliskami 3 cent. szerok. Na przodzie zapięta na 3 guziki. Duży, spadający kołnier, na ramionach rozcięty bardzo pelerynkę przyozdabia.

„Abajour” na lampę.

Rycina Nr 13. (Wzór odwrotna strona tablicy fig. 111).

Piękny i praktyczny „abajour,” zrobiony wewnątrz z gładki na formie z cieniutkiego druciku, forma u góry ma 7 cent. szerokości, zaś górna galeryjka wysoka na 5 cent. Wierzchnie przybranie składa się z dwóch falban: pierwsza wycięta w dłu-



Nr 1. Suknia jesienna z krótką pelerynką. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

Poduszczałka do szpilek.

Rycina Nr 16 i 19.

Prześliczna poduszczałka przedstawia bardzo mało pracy w wykonaniu. Naprzód uszyta gładko z złoto-żółtej materii „pongé,” rogi poduszczałki ozdabiają sute bufki z tejże materii, środek zaś pokrywa śliczna tiulowa, haftowana serwetka. Podobną poduszczałkę można ofiarować jako miłą i elegancką upominek.

Koszyczek do owoców.

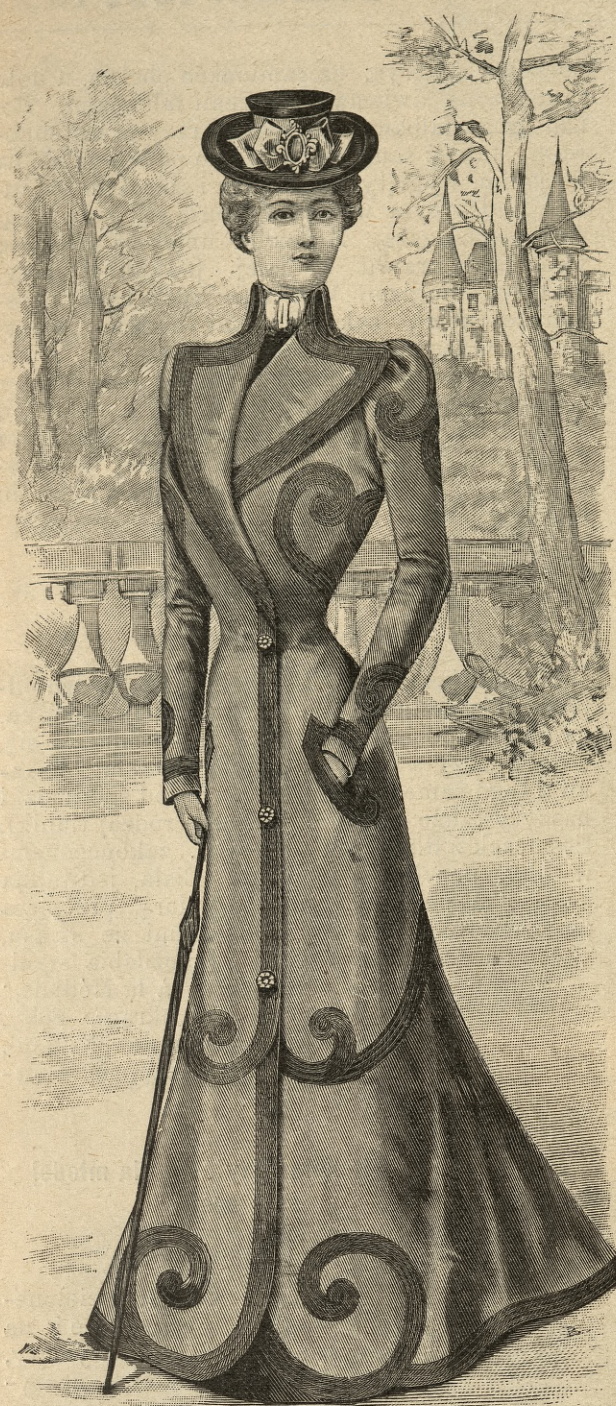
Rycina Nr 17. (Wzór odwr. str. tabl. fig. 110).

Ładny ten koszyczek w przecięciu ma 17 cent. długości, zrobiony z żółtej słomki i zielonej, lakierowanej trzcinki. Dno koszyczka wykonane z żółtego płótna, haftowanego trójkolorowym jedwabiem; uszy koszyczka ozdabiają śliczne rozetki z trójkolorowej, atlasowej wstążki.

Bluzka strojna.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 39.

Powyższa bluzka odpowiednią jest na koncert, do teatru lub t. p. zebrania, zrobiona z żółtej „taffetas” w podłużne, drobne zakładeczki. Karczki i stojący kołnierzyk ślicznie naszyty białym i czarnym, jedwabnym sznureczkiem. Falbanka, idąca wokoło karczka i przednia kontrafalda, również przybrane sznureczkiem. Rękawy poniżej ramion i przy rękę przyozdabia taki sam garnitur. Pasek żółty, aksamitny z dżetową kłamrą, uzupełnia prześliczną całość.



Nr 5. Długie jesienne okrycie.

gie, trójkątne zęby z zielonej materii „liberti,” suto fałdowana; druga zaledwie nieco falująca się z jaśniejszej zielonej materii, wycięta w okrągłe zęby i wyhaftowana „à point-lace.” Galeryjka objęta podwójną riaszą z zielonej materii. Całość stanowi bardzo ładną ozdobę saloniku.

Śliniaczek haftowany.

Rycina Nr 14. (Krój pierw. str. tabl. fig. 51).

Bardzo miłuchny śliniaczek dla dzieci; środkowa część wykonana z barchan piki, przyozdobiona łatwym łańcuszkowym haftem. Śliczna, podwójna, batystowa falbana, wyhaftowana wedle podanego wzoru garniruje go wokoło. Do haftu używa się kolorowego jedwabiu lub bawełny, wedle upodobania.

Śliniaczek z haftem.

Rycina Nr 15. (Krój i wzór pierwsza strona tablicy fig. 52).

Nieco skromniejszy, lecz również bardzo ładny śliniaczek z białej, gładkiej piki, wyhaftowany kolorowym jedwabiem. Zamiast falbany, obszyty jest szydełkową koroneczką.



Nr 7. Sukienka szkolna dla dziewczynki od 8—9 lat. (do ryciny Nr 10 w Bluszczu Nr 39).



Nr 2.

Nr 3.

Nr 4.

Nr 2 — 4. Kapelusze strojne lub zimowe.



Nr 8. Jesienny kostium dla młodej osoby. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 69—78).

Nr 9. Peleryna jesienna i kapelusze.

Suknia dla starszej osoby.

Nr 11. Suknia wizytowa dla młodej osoby.

Oryginalna poduszczałka.

Rycina Nr 20. (Krój i wzór pierw. strona tablicy fig. 53).

Cała poduszczałka zrobiona z angielskiego płótna, koloru jasno-lila, w przecięciu ma 40 centim. długości, wokoło objęta lila jedwabną bufką. Wierzchnia strona poduszczałki wyhaftowana w formie okrągłego kwiatu jedwabną, cieniowaną filozelą.

Kołderka na wózek szydełkową robotą.

Rycina Nr 21 (do ryc. Nr 5 w Bl. Nr 39).

Desen roboty (podany na rycinie Nr 5 w Bl. Nr 39) jest bardzo łatwy i spory w wykonaniu. Długość kołderki wynosi 70 cent., szerokość 60 cent., rozmiary te jednak można powiększyć lub zmniejszyć, wedle potrzeby. Po ukończeniu szydełkowej roboty obszywa się kołderkę różową, jedwabną falbaną, co ją nadzwyczajnie upiększa. Jako materiał na kołderkę można użyć białą bawełnę, przędzę wełnianą, włóczkę, lub też biały, jedwabny kordonek. Tego rodzaju kołderka bardzo przyozdabia wózek dziecięcy i jest o wiele praktyczniejsza od atlasowych kapek i jedwabnych kołderek.

Suknia wizytowa.

Ryc. Nr 1 w Bl. Nr 39.

Do teatru, na koncert, lub mniejsze uroczystości jest bardzo odpowiednio to ubranie z czarnego „taffetas.” Fason ten może być zastosowany nawet dla osób starszych. Spódnica gładka, u dołu kilka razy naszyta czarnymi aksamitkami, na to lekko



Nr 6. Jesienne ubranie formą „princesse.”

falująca się tiunika, wycięta w zęby, obszyte aksamitką. Staniczek z tyłu gładki, na przodzie bluzkowy, u góry zakończony wyłogami, wyciętymi w trzy okrągłe zęby, naszyte aksamitkami. Biała, jedwabna kamizelka i takież stojący kołnierzyk, naszytyi horyzontalnie czarnymi aksamitkami. Rękawy z okrągłymi epoletkami, aksamitkami ozdobione. Oprócz tego cały staniczek, przybrany bogato haftem dżetowym w winne gałązki i grona. Aksamitny pasek z dżetową kłamrą zakończy suknię.

Suknia spacerowa z odmiennym staniczkiem.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 39. (Krój pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 44—50).

Bardzo oryginalne ubranie dla młodej osoby: spódnica gładka z cienkiego, popielatego sukna, na bokach z wierzchu dwa razy zastębnowana. Staniczek z fraczkiem z zielonego sukna; ogromnie przyozdabiają staniczek oryginalne wyłogi i kołnierzyk „à la Médicis” z ciemno-zielonego pluszu, obszyte popielatym futerkiem. Szmizetka z białej, jedwabnej gazy, spięta złotą podłużną kłamrą i biały, koronkowy krawacik, stanowią zakończenie eleganckiej całości.



Nr 12. Peleryna z materiału „double face.” (Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 13 do 17).

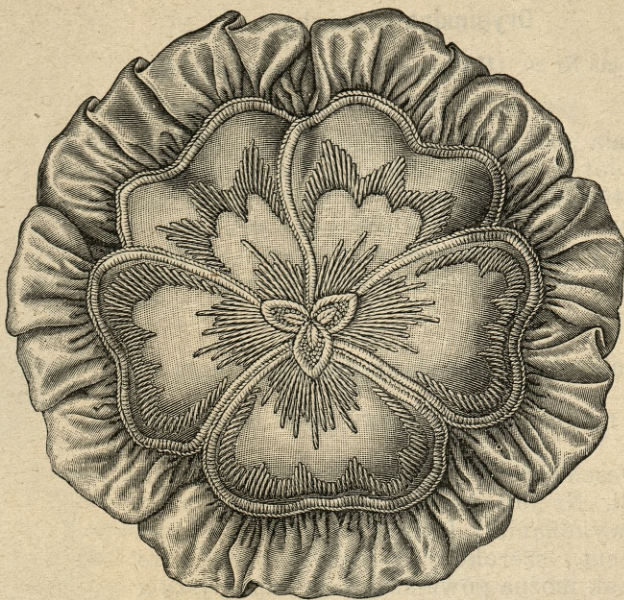
Przepisy gospodarskie.

KOMPOT Z GRUSZEK.

Dziesięć funtów obranych i wydrążonych gruszek posypać 5 funtami miążkiego cukru, sypać warstwami. Nazajutrz włożyć gruszki w rondel i gotować na ogniu do miękkości, aż się staną przezroczyste, wtedy włożyć trochę wanilii, wcisnąć sok z dwóch cytryn, zagotować, przestudzić i upakować w szklane lub porcelanowe słoiki. Do przechowania trzymać w chłodnej szpiżarni.

GEŚ NA SPOSÓB CIETRZEWIA.

Młodą, tłustą gęś, oporzędzić i naszpikować świeżą słoniną. Kwaterkę jałowcu utłuc, zwi-

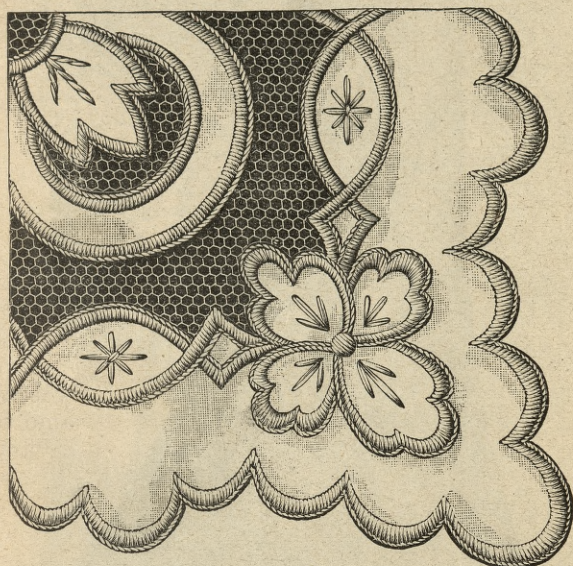


Nr 20. Oryginalna poduszczeńka.
(Kroj i wzor pierwsza strona tablicy fig. 53).

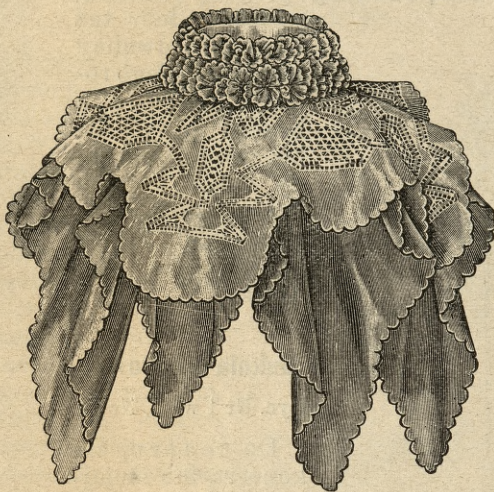
zać w muślinowy woreczek, włożyć w środek gęsi, ułożyć ją w głębokie naczynie, zalać octem i pozostawić 4 dni, aby skruszała, codzień przewracając. Po tym czasie gęś z octu wyjąć, dobrze obetrzeć, posolić i upiec pod blachą, polewając masłem. Na wydaniu, woreczek z jałowcem wyrzucić, obsypać pieczone tartą bułką, zarumienić i wydać na stół.

Obiad na Niedziele.

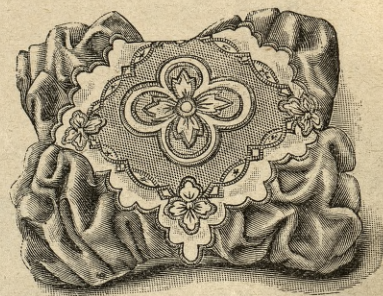
1. Rosół z francuskimi kluskami.
2. Pieczarki faszerowane.
3. Lin po nelsonsku.
4. Jarzyny duszone po włosku.
5. Cąber barani à la sarna.
6. Suflet ze śliwek.



Nr 19. Część deseni do ryciny Nr 16.
Wielkość naturalna.



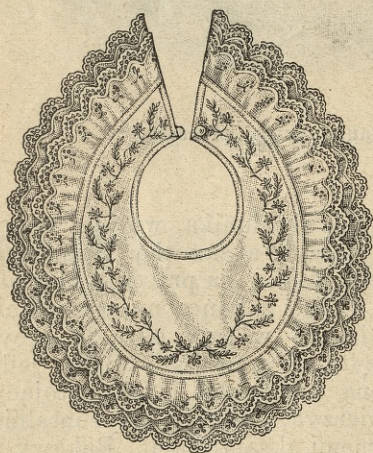
Nr 13. „Abajour“ ua lampę.
(Wzór odwrotna strona tablicy fig. 111).



Nr 16. Poduszczeńka do szpilek (do ryciny Nr 19).



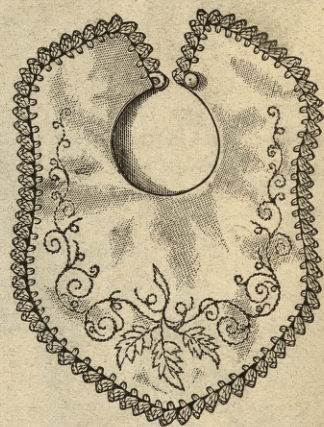
Nr 17. Koszyczek do owoców lub bułek.
(Wzór odwrotna strona tablicy fig. 110).



Nr 14. Sliniaczek haftowany.
(Kroj i wzór pierwsza strona tablicy fig. 51).



Nr 21. Kołderka na wózek szydełkową robotą (do ryc. Nr 5 w Bl. Nr 39).



Nr 15. Sliniaczek z haftem.
(Kroj i wzór pierwsza strona tablicy fig. 52).

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mające.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watawone, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.